

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 17. IX. 1950 r.

Nr 37 (268)

WŁODZIMIERZ LWOW

ABY NAUKA SŁUŻYŁA POKOJOWI I WOLNOŚCI...



Małżonkowie Fryderyk i Irena Joliot - Curie

„...Drogi nam jest szlachetne imię Joliot-Curie” (Z listu otwartego uczonych radzieckich „W obronie Joliot-Curie”) 13 maja 1950 r.

Szczupły młody człowiek o sportowej sylwetce wchodzi pewnego wiosennego rana 1929 roku do jednego z domów przy ulicy Piotra Curie w Paryżu został zatrzymany w przed-

sionku jak wszyscy uprzejmym pytaniem: w jakiej sprawie przybył pan do Instytutu Radowego, jak pańska godność i jakie są Pana prace naukowe? Młody człowiek odpowiadał, że nazywa się Fryderyk Joliot i że ma przy sobie dyplom kandydata nauk. Pokazał wizytówkę zapisaną męzkim z nazwiskiem Paula Langevin, członka akademii, profesora College de France. To wystarczyło. Po-

proszono go, aby zaczął a po kilku minutach przekroczył próg patrząc, nie mogąc oderwać oczu, na niemłodą, bardzo bladą twarz kobiecą. Ileż razy widział ją na fotografiach! Życie tej kobiety było samym bohaterstwem. Jako chłopiec na szkolnej ławce rozczytywał się w dziejach tego bohaterstwa... Dwudziestoletnia dziewczyna, córka skromnego warszawskiego nau-

czyciela mając w kieszeni tylko kilkaset franków przybyła do Paryża na studia. Przecież była już także rosyjską dziewczyną Zofia Kowalewska, która potrafiła osiągnąć stopień profesora matematyki, która odnalazła drogę do nauki po-

przez wszystkie przeciwności i na przekór wszystkiemu. Czy pan rektor nie pamięta tej dziewczyny? Pan rektor pogardliwie krzywi usta. Nie chce wiedzieć o żadnych rosyjskich dziewczynach. Tu nie jest Rosja, panno Skłodowska, tu jest Paryż. Niech pani wraca z powrotem do swoich białych niedźwiedzi albo wstąpi do szkoły kro-

ju i szycia!... Fryderyk Joliot patrzył nie mogąc oderwać oczu na osłonięte rekawiczkami szczupłe ręce, na twarz, w której nie ma ani kropli krwi. Rekawiczki okrywają nieuleczalne, nie gojące się nigdy rany. To — rad, Promienie radu, przed którymi nie umiano się chronić dwadzieścia lat temu... — Bardzo mi przyjemnie, że pa-

na widze, panie Joliot. Opowiadał mi o panu profesor Langevin. Pan skończył u niego kurs w wyższej szkole fizyki i chemii? Skończył pan jako prymus, czy tak? Paul Langevin — to wielki uczyony i wielki człowiek. Był ulubionym uczniem Piotra Curie.

Fryderyk Joliot patrzył na odkryte rekawiczki szczupłe, poronione ręce. Ileż walk i trudów wycierpiał! Francja bankierów i giełd-
laboranta. Niech pan się postara wejść w tę pracę! Życzę powodze-

nia! — Witając w Moskwie znakomitych autorów prac z zakresu sztucznej radioaktywności Fryde-

ryka Joliot i panią Irenę Joliot-Curie pragnę w imieniu komisji mendelejewskiej i od siebie osobiście powiedzieć im: Witam Was najserdeczniej w naszym kraju.

Uniosłszy okulary ponad siwymi brwiami akademik Kunakow obejmując wzrokiem okłaskującą salę. Dla uczczenia stułetniej rocznicy urodzin wielkiego twórcy systemu periodycznego Akademii Nauk postanowiła przeprowadzić coroczne odczyty poświęcone najwybitniejszemu i najważniejszemu pracom w dziedzinie fizyki i chemii. Dzisiaj, dwudziestego siódmego września 1936 roku przystępujemy po raz pierwszy do urzędywania tego zjazdu. Sądze, że nie omylił się, jeżeli powiem, że obecność na tej katedrze wybitnego przedstawiciela bratniego narodu i treść tych prac, o których on sam zaraz opowie lepiej niż cokolwiek innego zaciśni wiezy między wielką nauką narodu rosyjskiego, a przodującą i postępową nauką całego cywilizowanego świata!

Joliot wzruszony rozpoczyna przemawiać w skupieniu, powoli. Stenografistki i tłumacze śledzą wyciekając każdy ruch szczupłych palców wertujących kartki i notatki.

— „Gdy zdecydowałem się przemawiać wobec najwybitniejszych uczonych radzieckich, poczułem ciążącą na mnie wielką odpowiedzialność. Widzę tu tablicę Mendelejewa i muszę podkreślić, że w pracy naszej szliśmy po tej drodze, którą wytknął twórca prawa periodyczności...”

— „Jeśli, sumując, rzucimy okiem na osiągnięcia nauki, będziemy mogli z całą pewnością przewidzieć, że badacze, którzy rozbijają i łączą elementy według swojego uznania, opartą wcześniej czy później taką metodę, przy pomocy której jedyna przemiana jądrowa będzie pociągą za sobą szereg innych. (Możliwość tę przewidzieli już z początkiem naszego wieku nasi niezapomniani nauczyciele, Piotr Curie i jego żona, która opuściła nas na zawsze dwa lata temu w 1934). Łatwo przewidzieć, że zasadniczym motorem tych przemian będą neutrony. Jeśli przemiany te zaczną się rozchodzić od jądra do jądra we wzrastającej sile, to można sobie wyobrazić, jaka potężna ilość energii wydzieli się przy tym! Cały problem polega na tym, czy energia ta będzie wykorzystana na pożytek czy na szkodę człowieczeństwa...”

Warkot bębnow, trzaskanie podkutek żołnierskich butów, dźwięk rozbijanego szkła, czerwiec 1940. Niemcy w Paryżu. W parku Mont-

souri wśród podeptanych kłombów i wyrwanych z korzeniami stułetnich platanów — czołgi z czarnymi krzyżami. Patrole SS zatrzymują przechodniów. Szczupły niewysoki człowiek z tęczką w ręku szybko przechodzi tylnymi podwórzami do budynku College de France. Wspina się tylnymi schodami i chodzą do audytorium przypominającego zaniedbany ul. Wszyscy milkną. Z ostatnich szeregów wy-
myka się kilku osobników ze znaczkami „ognistych krzyżów” i szybko znikają z sali.

— Przyjaciele! Przyszedłcie na mój kolejny wykład o fizyce atomu. Zawiadamiam: wykład nie odbędzie się. Nie odbędzie się również wykład mojego nauczyciela Paula Langevina. Wielki uczyony francuski został schwytany i wrzucony do więzienia przez tych, którzy panują dziś w Paryżu. Spokoju i wytrwania, towarzysze! Przesuniemy nasze wykłady na te czasy, gdy Francja będzie znowu wolna. A nadejście tej chwili zależy będzie w wielkim stopniu od nas samych. Wzywam więc was wszystkich, abyście spełnili swój obowiązek. Co się tyczy mnie...

Słychać hałas poza ścianami sali, zamieszanie, krzyki: „Essesowcy!”

— Życzę wam powodzenia w walce, towarzysze i przyjaciele!”

Fryderyk Joliot został przyjęty do partii przez partyzancką grupę komunistyczną prowadzoną przez Casanowę i Pierra Villona.

Zbliżał się 1942 rok. Do Stalingradu było jeszcze daleko. „Wstąpiłem do partii dlatego, że jestem patriotą. W te najtrudniejsze dla ojczyzny dni dowiedziałem się wreszcie, co to są komunści i co to jest komunizm. Zrozumiałem, że gdyby mnie schwytali gestapowcy, było by mi wstyd, gdybym nie był w jednym szeregu z tymi, którzy walczą najdzielniej...”

Butelki i papierosy, wycie klaksonów, zdeptane kłomby w parku Montsouri. 1944 — 1945. Amerykanie w Paryżu!

W audytorium fizyki w College de France ożywienie. Studenci gorliwie napełniają atramentem pióra i rozkładają na pulpitach zeszyty. Dokładnie w oznaczonym czasie (nie ma żadnych „akademickich kwadransów”), wchodzi na stopnie katedry Fryderyk Joliot. — „Teraz możemy kontynuować nasz kurs fizyki atomu... Wczoraj wszyscy zbierają się w ciastym kole przyjaciół i towarzyszy walki. Wspomnienia, mowy, toasty. „Pięć lat walki — to nie żarty!” A pamiętacie, jak trzeba było chować ciężką wodę? Dwadzieścia litrów! I gdzie? W celi więzienia. To był pomysł Fryderyka godny jego najlepszych i pomysłów naukowych! „Francuski naród oczekuje od Ciebie, Fryderyku, nowych porywów, nowych odkryć. Trzymaj się teraz, atomie, stary sknero, wytrąśnięmy z ciebie wszystko, co chowasz w swojej skarbnicy!”

Fryderyk Joliot jest milczący i poważny. W rękach gazeta. W milczeniu pokazuje ją współbiesiadnikom. Na całą stronę: Hiroszima i Nagasaki.

Francis Perrin, fizyk, mówi wzburzony:

— Co za podłość, co za krwawy bezsens! Przekształcić spokojną ludność dwu miast w pole doświadczalne dla atomowych bombardowań. Z zimną krwią, bezmyślnie unicestwić tysiące ludzi...

Fryderyk Joliot odejmuje dłoń od twarzy. Wstaje.

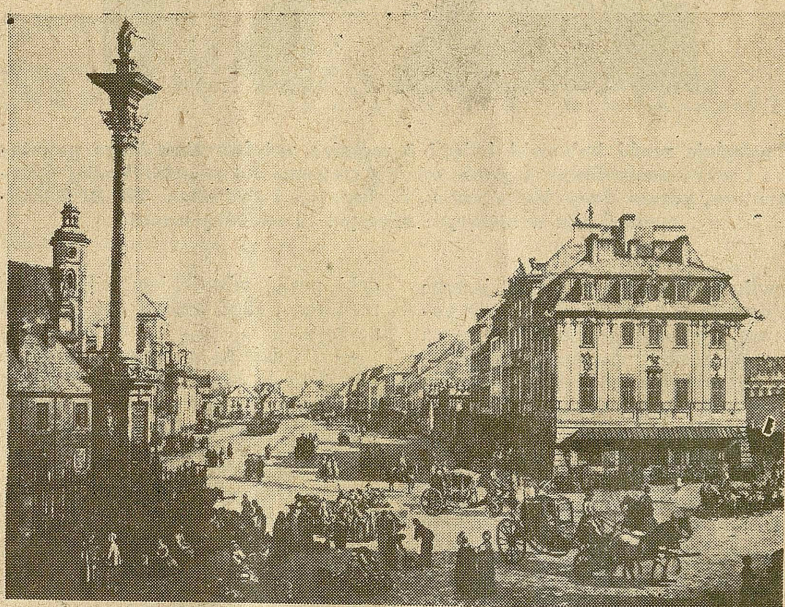
— Jest o wiele większa podłość. Generał Groves nie jest najważniejszym przestępcą. Generał Groves jest kukłą, którą ciągną za nici przywódcy Dupont de Nemura. Myśle o innych. Myśle o tych uczonych, którzy sprzedali swoją wiedzę, talent, swoje sumienie wszechświatowemu gangsterom.

Podczas gdy my walczyliśmy z hitleryzmem, oni czynili doświadczenia, oni dokonywali matematycznych obliczeń, eksperymentowali na zlecenie szajki zbrodniarzy, morderców, mianujących siebie senatorami, wiceprezydentami, dyrektorami koncernów. Właśnie tutaj kryje się najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Oświadczam z całą stanowczością i powtórzę to z każdej choćby najwyższej trybuny: my, we Francji nie oddamy ani okruszyny naszej wiedzy i doświadczenia naukowego dla masowego wyniszczenia ludzi. Więcej. Uczynimy wszystko, aby odsunąć groźbę wiszącą nad kołymi naszymi dziećmi. I znowu tak jak w 1942 roku — nie jesteśmy sami. Z nami jest Związek Radziecki, z nami jest Stalin. Walka jest nie-
skończona. Walka dopiero się zaczyna. Walka o pokój...

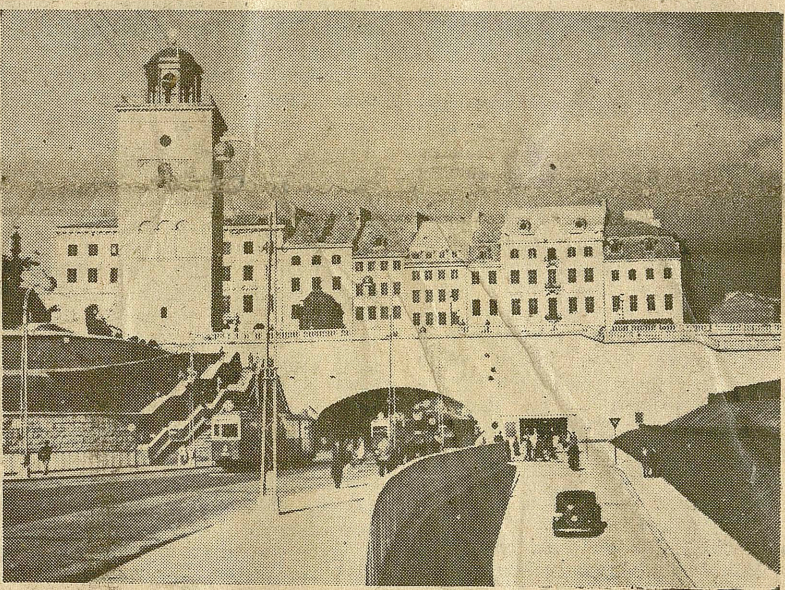
„Instytut Radowy w Paryżu ma zaszczyt prosić władze państwowe Stanów Zjednoczonych Ameryki o wypełnienie na otrzymanie zezwolenia na przywóz do Francji pewnej ilości sztucznych radioaktywnych izotopów. Izotopy są potrzebne francuskim szpitalom i laboratoriom medycyny eksperymentalnej. Prosimy o telegraficzną odpowiedź.

(dokończenie na str. 6)

WARSZAWA DAWNIEJ I DZIŚ



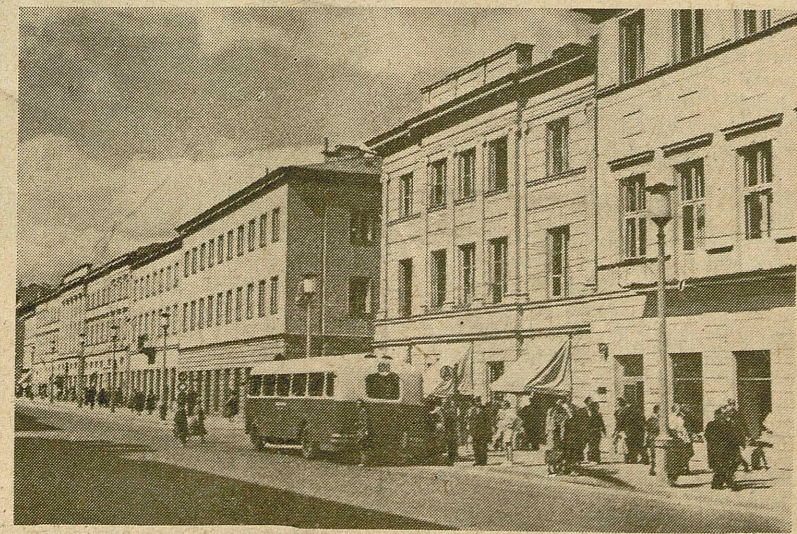
Bernardo Belotto de Canaletto: Krakowskie Przedmieście (wiek XVIII)



Trasa W-Z



Bernardo Belotto de Canaletto: Widok Warszawy od strony Pałacu Ordynackiego (1772 rok)



Nowy Świat

Wokół epiki

MARIA JANION

W SZKOLE ENGELSA

O mówieniu tomu Wygodzkiego „Nad Engelsem” — „jako jedno z ogniw rozpoczęcia na łamach „Wsi” dyskusji o epice, wnieść może nowe problemy i argumenty.

Jedną z istotnych cech konstrukcyjnych poematu Wygodzkiego stanowi jego liryczny charakter. „Nad Engelsem” jest zbiorem „pieśni”, w których autor pragnął odtworzyć stan świadomości wzburzonych mas chłopsko-plebejskich Niemiec XVI wieku. Wygodzki ogranicza tu do minimum element opisowy, rezygnując z przedstawienia wiernie historycznego ciągu zdarzeń. Etapy wojny chłopskiej 1525 r. przebiegały aluzyjnie poprzez wynurzenia zrośniętych ale najczęściej anonimowych podmiotów lirycznych; ładunek emocjonalny pieśni nadziei czy rozpacz pozwala nam odczytywać sytuację historyczną, która je określa. Przez cały ciąg poematu mówią ludzie wojen chłopskich — wagabundy i rozgromieni, król żebraków i emisariusz. Zrzadka tylko odzywa się narrator; w ostatnim zaś wierszu cyklu autor mówi o sobie i tu panuje już niepodzielnie liryczna.

Lekturę „Nad Engelsem” należało by zaczynać od końca. Ostatni bowiem wiersz cyklu: „Pieśń o zamkniętym na wieży” stanowi komentarz ideowy całego poematu. Kamienna wieża w Dunaju, kryjąca niegdyś skazanego na śmierć kacerza — temat ostatniej pieśni poematu, staje się w myśl intencji autora jego lirycznym inicjałem:

„Widziałem tę wieżę i pierzelem w jej dno i kamienie zwierzęde, jak w dzieje i czasy zamierzyle, co nagle znów stały się ciałem, i z głazów odgadłem — wróżyła — dno rzeki, dno wieży, dno rzeczy... z kamieni, jak z księgi czytając, a księga niestety, nie przeczy.”

Narrator wstrząśnięty widokiem wieży, miejsca kaźni bohaterów wojenników o prawa człowieka, zdaje się stać, w myśl własnego wyznania, czerpać swą wiedzę o życiu i walce chłopów niemieckich XVI w. Jakież „dno rzeczy” można dostrzec na „dnie wieży” i „dnie rzeki”? Kamienie wieżeni mówią mogą o mecie i przedmiernym leku skazańca, o potwórności mordu, o bohaterstwie nadziei. Ale też i niewiele więcej.

Symbolicznym równoważnikiem lirycznej treści poematu, stał się więc odzwiek kajdan i skowyt wygnanej suki z obozowiska wagabundów:

„...i ciągnie za armię Apollo jak czarna wilgotna onuczka, i kuli się, tuli się, wlecie przez strofy i w pieśni mej warczy jak dół, jak dzieje człowiecze...”

Poemat nosi jednak tytuł „Nad Engelsem”. U podłoża książki leży nie tylko głębokie zamyślenie nad mrocznymi „dziejami człowieczymi”. Autor powołuje się przecież na znakomitą pracę Fryderyka Engelsa, który oświecił z genialną przenikliwością czasy niemieckich wojen chłopskich. Dwoistość patronatu ideowego nie wyszła na dobre poematowi Wygodzkiego. Hipertrofia poetyckiej „lirycznej zadumy” zamigła klasycznie przejrzysty i jasny sąd historyka, spłatała ścieżki naukowej analizy. Jest to tym smutniejsze, że w ten sposób nie tylko obniżona została wartość poetycka i cenowego w zamierzeniach poematu. Indywidualne błędy Wygodzkiego mogą nasuwać wadliwe sugestie na temat stosunku „poezji” i „prawdy”, różnicy zadań historyka i poety, granic poetyckiej licencji. Spróbujmy zatem ustalić stosunek między poematem Wygodzkiego a jego wielkim wzorem, historyczną rozprawą Engelsa.

„Wojna chłopska w Niemczech” ukazała się sto lat temu, w lecie 1850 r., w 5 i 6 zeszytach „Nowej Gazety Renskiej”, redagowanej przez Marksa. W przedmowie do wydania II z r. 1870 tak określał Engels zadanie pracy: „...Spróbowałem wythumaczyć pochodzenie wojny chłopskiej, stanowisko różnych występujących w niej partii, polityczne i religijne teorie, w których partie te usiłowały wyjaśnić sobie własne swe stanowisko, wreszcie sam wynik walki, jako zjawiska, wynikające z konieczności z historycznych warunków życia tych klas”. Praca Engelsa o wojnie chłopskiej 1525 roku stanowi — obok historycznych prac Marksa — jeden z najświetniejszych wzorów zastosowania w praktyce materialistycznego pojmowania dziejów.

W stulecie opublikowania rozprawy Engelsa (której nowego wydania polskiego niestety dotąd jakoś nie widać) ukazał się nakładem „Książki i Wiedzy” poemat Stanisława Wygodzkiego „Nad Engelsem”. Ta inicjatywa pisarska Wygodzkiego jest niezwykle cenna i nowatorska. Wierszy, które powstały z zamyślenia nad książką, które reprezentują typ poezji zwanej popularnie „z książek”, znamy wiele. W schyłkowym okresie literatury mieszczańskiej poezja taka miała za zadanie wyrażać burżuazyjną tezę o autonomności niezwiązanej z rzeczywistością sztuki, ukazywać

rozwoj kultury niezamącony żadną ingerencją „z zewnątrz”. Znamy także banalne rozróżnienia poetów dwudziestolecia nad lubionymi książkami dzieciństwa.

„Trocheje i daktyle są słodsze niż owoc daktyla, w fimbriach chorej mej krwi amfibrah króluje i chorej, Nad lilie przekładam sny Leconte de Lisle'a Henryku Heie, jak kwiaty pachnące westchnienia Piękniejsze są, niż ich pierwowzory...” brzmiał manifest młodego Skaman-



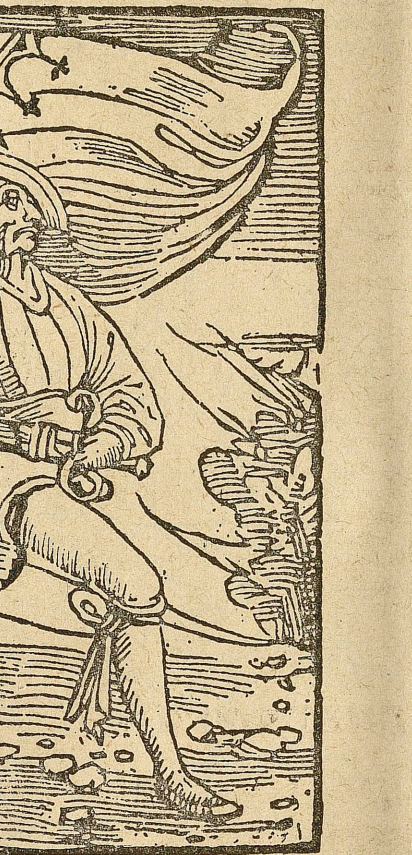
„Wolność” — drzeworyt z książki Tomasza Murnera „Sprzysiężenie lute-rańskich głupców” Strassburg, 1522

dryty. Poemat Wygodzkiego nie ma z tymi tradycjami nic wspólnego. „Nad Engelsem” nie miało być poetycką transkrypcją dzieła historycznego. Jest ono wyrazem tego zasadniczego zwrotu, jaki dokonuje się w naszej nowej poezji, zwrotu do rzeczywistości, do spraw człowieka i jego walki o lepszy świat. Dla właściwej, jedynie słusznej interpretacji bohaterstwa dzieł wojen chłopskich nasza sięga do dzieł klasyków marksizmu jako do mistrzów historycznego myślenia. „Nad Engelsem” znaczy — w szkole Engelsa. Z takiego zamyślenia nad dziejami walczącego człowieka, z gestu poety sięgającego po dzieła Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina powstał tom Wygodzkiego „Nad Engelsem”. Kierunek ideologiczny zatem został oznaczony w sposób najtrafniejszy. Dzieło Engelsa ukazało Wygodzkiemu niezmiernie bogactwo spraw i wydarzeń walki chłopów niemieckich z potwornym uciskiem feudalnych książek i szlachty, z wyzyskiem usankcjonowanym religią uprawianym przez najzręczniejszych wówczas gniebieli ludu — dostojników kościoła, zerwało maskę sporów religijnych z najzaciętszych walk klasowych XVI wieku, przedstawiło przeciwieństwa między mieszczańską a chłopsko-plebejską opozycją wobec ucisku feudalnego. Dzieło Engelsa pozwoliło dojrzeć w wojnie chłopów niemieckich walkę o lepszy, sprawiedliwszy świat, nauczyło kochać „niezgrabne lecz zacięte i silne postacie wielkiej wojny chłopskiej”. Czy jednak Wygodzki bezbłędnie, do głębi po engelsowsku potrafił zinterpretować wybrane w tomie wypadki wojny chłopskiej, czy przekazał czytelnikowi istotnie pełny rejestr spraw, jakie nasuwała historia walk 1525 roku? Te pytania winny się stać ośrodkiem oceny tomu wierszy Wygodzkiego.

I tu brzdęk poczęła sprawa kacerskiej wieży i „suki, którą wabił Apollo”. „Przeliryzowanie” obrazu wojny chłopskiej, wyrażające się czasem w trochę płaczący sentymentalizm i fałszywa „poetyzacja” („Pieśń o życiu pozagrobowym”) spowodowały zjawisko zamazania, braku wyrazistości rysunku historycznych wydarzeń. Epicki tok narracji zapewniłby tu szerokość i większą precyzyjność obrazu historycznego, pozwoliłby dojrzeć walczącego człowieka sprzed 400 lat w całej jego pełni, umożliwiłby głębsze przeniknięcie doświadczeń klasowych chłopów niemieckich XVI wieku.

Wygodzki usiłował ukazać wydarzenia wojny 1525 roku od strony działającego podmiotu historii — walczących mas chłopskich. Wiemy jednak od Engelsa, że masy te miały zaciemnioną świadomość klasową, że powstanie chłopskie zgubiły „beztępotność zaciętości i uparty prowincjonalizm”. Wygodzki nie obrał sobie niestety tego prawidłowego punktu obserwacyjnego, z jakiego mógł oglądać wydarzenia wojny chłopskiej jedynie polityczny rewolucjonista — Tomasz Murner, o którym Engels pisał: „Jak filozofia religii Münzera zbliża się do ateizmu, tak jego program polityczny zbliża się do komunizmu... Program ten był nie tyle zestawieniem żądań ówczesnych plebejuszy, ile genialną antycypacją warunków wyzwolenia led-

wie rozwijającego się wśród tych plebejuszy żywiołu proletariackiego”. Nie chcę przez postawienie tego zarzutu powiedzieć, że Wygodzki potworzył drogę Lassalle'a, który na głównego bohatera swego dramatu o wypadkach początków wieku XVI typował przywódcę szlachty — Franza von Sickingen. Wygodzki jednak nie obrał w interpretacji faktów historycznych drogi Engelsa, pozycji Münzera. Rzeczywistość, ujęta od strony przeliryzowanego „subiektywnego odczucia” i od strony często zaciemnianej świadomości klasowej chłopów szesnastowiecznych, nie uk-



„Wolność” — drzeworyt z książki Tomasza Murnera „Sprzysiężenie lute-rańskich głupców” Strassburg, 1522

zała w tomie Wygodzkiego najważniejszych, zawierających zarodek nowego i zapowiadających przyszłe zwycięstwo tendencji. W książce Wygodzkiego nie znalazł prawidłowego i koniecznego odzwierciedlenia fakt, który z taką pasją akcentował Engels: „Jedynie w Turyni pod bezpośrednim wpływem Münzera, a w kilku innych miejscowościach pod wpływem jego uczniów, burza powstania uniosła frakcję plebejską miast tak daleko, że rodzący się dopiero proletariatus w niej chwilowo górę nad innymi czynnikami. Epizod ten, stanowiący punkt szczytowy całej wojny chłopskiej i związany ściśle z najwspanialszą jej postacią, z Tomaszem Münzerem, jest jednocześnie epizodem najkrótszym”. Interpretowanie historii XVI w. z pozycji ówczesnych mas chłopskich doprowadziło do przesadnych, nieuzasadnionych akcentów religijnych, a nawet religianek. W „Pieśni o życiu pozagrobowym”, która zresztą w pewnym stopniu usprawiedliwia



Chłopi niemieccy podczas gawędy miedzyort Albrechta Dürera

to, że wyraża ona nastroje mistyczne po klasie, zostało to zadokumentowane najsilniej. Nie zawsze Wygodzki potrafił zerwać maskę religijną, ową „aureolę świętości” z wypadków politycznych wielkiej wojny chłopskiej. Jednak akcenty religijne w takich wierszach jak „Pieśń o emisariuszu” i „Pieśń o sprawiedliwości” są najzupełniej słuszne.

Wygodzki nie zajął miejsca obserwacji w ośrodku ruchu — partii münzerowskiej, nie ukazał tego „punktu szczytowego całej wojny chłopskiej”, o którym pisał Engels i to obdobiło się jaskrawie w pesymizmie poematu. Pesymizm ten znalazł wyraz przede wszystkim w doborze ukazanych w tomie wydarzeń, a więc uznanych przez autora za typowe, odzwierciedlające istotę ruchu. Akcent główny został tu położony na wypadkach rozgromienia, klęski, słabości ruchu. Jedynie „Pieśń króla żebraków”, bodaj najlepszy wiersz tomu, zawiera ów niezbędny akcent bojowości, wiary w przyszłe zwycięstwo:

„Jest nędza, która zdusi kata, są ludzie, co się sami zbawia.”

Takiej wiary jest jednak w tomie Wygodzkiego za mało. Pesymizm tomu jest w pełni uzasadniony, jeśli zważymy, że Wygodzki nie dostrzegł zawartej w programie münzerowskim, genialnej antycypacji warunków wyzwolenia ledwie rozwijającego się wśród (tych) plebejuszy żywiołu proletariackiego. Przeczenie tych „zarodków nowego w wielkiej wojnie chłopskiej 1525 roku” pozbawiło Wygodzkiego owej tak charakterystycznej dla znakomitego dzieła Engelsa bojowości i cennej aktualizacji. „Analogia między niemiecką rewolucją 1525 rku a rewolucją 1848-1849 roku była zbyt oczywista, aby można było wtedy całkowicie ją pominąć” — pisał Engels w przedmowie do wydania z roku 1870. Te analogie i różnice pojawiają się niemal na każdej kartce „Wojny chłopskiej w Niemczech”. Trzeba pamiętać, że analiza przyczyn upadku rewolucji 1848-1849 roku doprowadziła Marksa i Engelsa do sformułowania podstawowej idei socjalizmu — sojuszu rewolucyjnego proletariatu z masami pracującego chłopstwa. W cytowanej wyżej przedmowie do II wydania „Wojny chłopskiej” Engels pisał: „Te klase (proletariatu rolnego — p.m.), bezsilna na skutek swego rozdrobnienia i rozproszenia... ożywić i wciągnąć do ruchu jest najbliższym i najpilniejszym zadaniem niemieckiego ruchu robotniczego. Z chwilą, kiedy masa robotników rolnych nauczy się rozumieć swoje własne interesy, reakcyjny — feudalny, biurokratyczny czy burżuazyjny — rząd stanie się w Niemczech nie-możliwym”.

Pesymizm tomu Wygodzkiego nie mógł mieć zatem źródła w lekturze dzieła Engelsa. Pesymizm, któremu dał tak dobitny wyraz Wygodzki w dwóch pierwszych częściach swego nowego tomu „Wierszy” (1950, nakładem „Książki i Wiedzy”), jest tu smutną ideową pozostałością niemości upadającej poezji mieszczańskiej. Odnajdujemy w zakończeniu poematu echo tych nastrojów:

„...i tkwiłem nad wodą i tąką i serca słuchałem — niepomną, jak ktoś, co się smuci rozłąką i w życie odechodzi — bezdomny”.

Jest to fragment najbardziej zastanawiający i zdradzający najgłębszą rysę ideologiczną poematu. Klimat emocjonalny zakończenia narzuca zupełnie anachroniczne analo-

„Dialektyka dziejów”, która jest wspaniałym i wzruszającym dokumentem dojrzenia poety do ideologii marksizmu. Na etapie strofy:

„Człowiek urasta — idzie w górę metrami pięt i codzień w trudzie roboty dźwignij mu mury, strofo, i wesprzyj w pochodzie.” („Kielnią i piórem”)

inaczej zapewne wypadłaby druga, nowa lektura dzieła Engelsa.

Tom Wygodzkiego, mimo wszystkich swoich błędów, stanowi wartościowy, wysoce artystyczny dokument przełomu w naszej poezji. Lektura Engelsa umożliwiła Wygodzkiemu dostrzeżenie bogactwa życia i walki chłopów niemieckich XVI w., chociaż nie wszystko potrafił Wy-

godzki naprawdę po engelsowsku zinterpretować. Uderza w tomie miłość dla walczącego o lepszą przyszłość człowieka, piękna stylizacja, często wyjątkowa trafność poetyckiego spojrzenia.

Największe jednak dzisiaj znaczenie cyklu wierszy Wygodzkiego polega na tym, że umacnia on przyjaźń narodów niemieckiego i polskiego, gruntowaną na podstawie wspólnej rewolucyjnej walki o pokój i socjalizm. Ukazuje bowiem walczących z uciskiem feudalnym chłopów niemieckich, umacnia międzynarodową tradycję walki z wyzyskiem, uoaczniacjąc to, co formułował Engels w następujących słowach: „Również i lud niemiecki ma swoją tradycję rewolucyjną”.

Maria Janion.

JAN BŁOŃSKI

NOWA SZANSA POEZJI*)

Będąc niedawno w Warszawie spotkałem pewnego znajomego powieściopisacza, który mnie w swoim czasie wprowadzał w skomplikowany świat zagadnień literackich. Rozmawialiśmy o wszystkim potrośnie. W końcu o Morsztynie. „Morsztyn” — perorował mój rozmówca — „blizszy jest znacznie wielu współczesnym poetom, niż się to na ogół wydaje. Pisał przecież komplementy dla pań dworskich tak, jak wielu dzisiaj wypisuje rymowane komplementy rewolucji.”

Paradoks mojego znajomego należy potraktować jak żart, którym też jest w rzeczywistości, ale spróbujmy znaleźć punkt wyjścia tego tak okrutnego w gruncie rzeczy kawału.

Otóż odpowiedź jest prosta — nasi poeci — w wielu jeszcze wypadkach — nie posiadają dostatecznie osobistego, dostatecznie nowego, oryginalnego i pogłębiętego intelektualnie podejścia do opisywanych przez siebie spraw. I to oczywiście mści się najbardziej na poezji twórców najbardziej doświadczonej: pewne ubóstwo koncepcji poetyckich, brak oryginalnego tonu wielu wierszy, sprawianych, że nad utworami wielu młodych poetów można by pozamienić nazwiska, poetycka, a raczej niepoetycka huśtawka, pomiędzy „opisywacem”, a deklaratorywnością — wszystko to prowadzi czasem do owego „komplementarstwa” z paradoksu mojego znajomego.

Czas sprowadzić rozumowanie do właściwego tematu recenzji, którym jest „Nad Engelsem” Wygodzkiego. I) Otóż zwracamy się do niego prawem kontrastu; powiemy od razu: Wygodzki pokazuje poetom drogę wyjścia z kręgu owego quasi — „morsztynizmu” — pewnego odłamu współczesnej poezji drogą intelektualnego pogłębienia samej koncepcji artystycznej. Powiemy zresztą otwarcie: nie sposób wzorować się na „Nad Engelsem” bezpośrednio, nie sposób dublować poematy; pomysł Wygodzkiego jest niepowtarzalny; chodzi raczej o kierunek poszukiwań poetyckich, o dążenie do głębszego, oryginalniejszego wykorzystania swoich pozycji ideologicznych. Bo — niezależnie nawet od wykonania — Wygodzki trafił na nową żyłą poezji, spenetrował nieznaną dotąd jej zakątek — za sam pomysł „Nad Engelsem” należałoby mu się przede wszystkim słowa uznania.

* * *

Czas na bliższe wyjaśnienie, na czym polega oryginalność koncepcji poematu Wygodzkiego? „Nad Engelsem” ma za temat wojny chłopskiej w Niemczech XVI wieku, tak klasycznie w swoim czasie zanalizowane przez wielkiego współpracownika Marksa. Jednocześnie jednak nie jest „Nad Engelsem” poematem poetyckim; składa się z kilkunastu pieśni — bądź co bądź — lirycznych, o swoistym, stylizowanym charakterze. Wygodzki obrał bardzo ciekawą drogę: drogę rekonstrukcji uczuć historycznych, uczuć, które ożywały bohaterów szesnastowiecznych walk klasowych w Niemczech; poeta kreuje historycznych, zbiorowych zresztą, bohaterów lirycznych; wchodzi niejako w skórę buntującego się chłopstwa, przemawia w ich imieniu — i jakby ich słowami.

Takby wyglądała pierwsza warstwa poematu. Druga — to zawarta dyskretnie między wierszami „Nad Engelsem” — klasowa, engelsowska właśnie interpretacja tych uczuć; pokazywanie ich historycznych źródeł. W ten sposób nie uciekając się bynajmniej do obciążania poematu balastem faktów historycznych, programowo rezygnując z wszelkich akcentów epickich — wypełnia jednak poemat Wygodzkiego rolę komentarza do Engelsa.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej jednemu z fragmentów poematu. Weźmy np. „Pieśń o życiu pozagrobowym”:

„Ach ptaku, ptaszyno, ptaszysko, kozio, ach sarno, sarenko, znów świtem wyjdziemy na ryzko, by wrócić do Pana z podkózka, ach trzcinu, ty trzcinu podwodna ptak czarny przeleciał i wolny, wieś wraca do chałup, lecz głodna znów cierpi człowiek bezrolny.” Ropucho, jaszczurko płaska, kaczusko i ty wodna kurko, wam wolno pomykać o brzasku i w wodę uśpioną dać nurka, podpywać, zaszywać się w zielsku, w szuwaru pomykać a chyżo. Po śmierci chwała anielska Piotr do nas w niebiosach się zbliży.”

Cytowany fragment daje dobre pojęcie zarówno o koncepcji poematu, jak i o jego właściwościach stylowych, do których jeszcze powrócimy. Zanalizujemy bliżej sytuację poetycką wiersza: wojna wygasa, bunt został zdławiony — to wynika z całości poematu.

Cóż pozostaje? Właśnie „Pieśń o życiu pozagrobowym” — liryczna religijna, patrząc z pierwszego punktu widzenia — z punktu widzenia rekonstrukcji uczuć historycznych. A interpretacja tych uczuć? Te znowu zaznaczają w tym wypadku końcowe wiersze zwrotek — one wyznaczają ich historyczną genezę. W ten sposób więcej sposob — oczywiście — na różnorodnych schematach formalnych — rozwiązany jest poemat Wygodzkiego.

Pozostaje sprawa ostatnia: kwestia stylu — w najszerszym tego słowa znaczeniu. Dwa składniki dadzą się pod tym względem łatwo wyróżnić w poemacie: po pierwsze, stylizacja na daną balladę, pieśń obywatelską stylizację, której wymaga aura uczuciowa poematu; po drugie: swoiste wykorzystanie zdobyczy lirycznej dwudziestego wieku. Jak to wygląda w konkretnym materiale poetyckim, da się łatwo wykazać na dowolnym fragmencie. Po stronie stylizacji: ogólny schemat wersyfikacyjny (jednolitość rytmiczna poematu), stylizowana składnia (punkt bardzo ważny! charakterystyczny, wyliczeniowy, tak zdania, sposób wiązania zdań — sądzę, że rzuci się to w oczy każdemu czytelnikowi „Nad Engelsem”, filologiczna dubanina będzie tu chyba zbędna), słownictwo (szczególnie w „Pieśni Wagabundów” i „Pieśni o życiu pozagrobowym”). Po stronie współczesnej techniki poetyckiej: po prostu typ metafory, wrażliwość asocjacyjna współczesnej poezji. I wtedy, kiedy te właściwości „współczesne” wleją się w formę stylizowanej pieśni obywatelskiej czy ballady powstaje niekiedy gadulstwo „woda” poetycka. Bo są to elementy bardzo różne i dozwalać je trzeba bardzo starannie. Dlatego co do ostatniej, ściśle stylowej warstwy poematu musimy zgłaszać od czasu do czasu zastrzeżenia. Sądzę, że pozostawiam czytelnikowi; oto, dla przykładu zwrotka, która wydaje mi się charakterystyczna dla wskazywanych niebezpieczeństw stylu; zwrotka pochodząca z bardzo udanej, najpiękniejszej może z całości „Pieśni o zamkniętym na wieży”, zwrotka w każdym razie symptomatyczna:

„W Dunaju, gdzie stopa kamienną tkwi wieża wysoka nad głębią, gna woda i nocą bezdenną przepędza milczące gołębie, a w murach, gdzie woda się sączy, i plukiem dopada do ciszy, więziony do pluku dołączy dźwięk oków, co jęku nie słyszą.”

Nie wszystko w tej zwrotce wydaje się artystycznie konieczne — nie zmienia to jednak w najmniejszym stopniu naszej zasadniczej opinii o poemacie Wygodzkiego. „Nad Engelsem” — jak to starałem się wykazać — charakter ostrzeżenia i przykładu jednocześnie; pokazuje nową szansę poezji.

*) Stanisław Wygodzki: „Nad Engelsem” Książka i Wiedza 1950, str. 40.

**) Nieprawdopodobia było by pominąć w recenzji świetnie wychwytyjących tę stylizację drzeworytów Marii Hispańskiej.

Jan Błoński

TADEUSZ PAPIER



STANISŁAW PIĘTA

LIST DO ŻONY

Oto szczęśliwy stoję pod niebem ciemniejącym, gwiazdy
Nie weszły jeszcze, światło jaskółkami dotyka wód.
Byłem dziś w polu, doświadczyłem na żniwiarce jazdy.
Teraz niesie mię jak ważkę powietrze do rodzinnych wrót.

Gwar, gwar tu płynie i przypomnieniem oczy porywa,
Na wzgórku dzieci czerpiąc ciszę otworzyły usta.
Otula ich ciężarna od zapachów smuga siwa.
Stoczą się z nią jak koła, sprawdzają, że ziemia kulista...

Tak, nie próżnuję, bezustannie prowadzę rozmowy.
Wczoraj w świetlicy pieśni... Drzemącego zastał mię brzask
Ludzie dręczą się w łuku podrywają głowy.
Pochyli ich już jednak ku nowym formom życia czas.

Kochana, lekko, radośnie mi, że wstydzę się szczęścia.
Przyjechałem nie na spoczynek wszakże, nie na zabawę.
Gdybyś jednak tu była, nie chciałabyś męstwa.
Dzieci, wierzy i szumy westchnieniem brodzą po trawie.

I ktoś śpiewa, już nad głowami gwiazda się łasi.
Gdybyś choć przeszła obok, gdybyś odetchnął choć twój cień
Jakaż pełnia byłaby czucia. Noc światelka gasi,
spłynie po żniwnym trudzie w powiewie nowin kruchy sen...

PRZY BUDOWIE

Wzniesiono z powietrza i cegły gromadzką budowlę.
Domy przy niej się kulą jak zmruszone stodoły,
Godło w kwiatach na krokwi chyli się jak młode orle.
Szukają miejsce dla gniazd spokojnych młodzieńcze jaskółki.

Ostatnie uderzenia młotków — i jeszcze — i jeszcze...
Tak, drodzy, czas już odetchnąć, oczy latem ubawić.
To niebo daje cień tak czuły na lekkiej ścieżce,
że drżą dziś głowy dziewcząt w nim i szept zdumionej w zasluchaniu trawy.

Przerwa w robocie. Nie tylko mężczyźni dla spoczynku swego
szukają podszycia krzaków i warg wysychającego strumienia.
Błyska śmiech. Na stopę jednej z śpiących dziewczyn
promień wszedł, lecz zgasił od czyjegóż westchnienia.

To młody cieśla odetchnął i podniósł twarz bledszą.
Natchnienie chwili przebiło mu skroń jak igielki.
Ujrzał sąsiadkę, co spała, jako żonę swoją.
U jej stóp wschodzili dzieci jego — mieniące się żyta kielki.

Wiosną 1949 roku.



Nauczyciel wiejski ze wsi Mirków — Antoni Sliwiński

Gromada podjęła jeszcze w ubiegłym roku zobowiązanie, że do końca roku 1950 nie będzie we wsi ani jednego analfabety. Zobowiązanie to wiązało się z uchwałą Sejmu z 7 kwietnia 49 r. o likwidacji analfabetyzmu. Tow. Wilczyński, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, mówił wówczas: — Musimy wykonać naszą uchwałę, w ten sposób zniszczymy ostatnią zapórę, która hamuje rozwój świadomości ludzi pracy. W naszej gromadzie pozostało jeszcze 12 chłopów, którzy nie umieją czytać i pisać. Pomyślcie, od nas tylko zależy, aby przyczynić się do wykonania uchwały całego narodu.

Wypowiadając te słowa przemówienia tow. Wilczyński skierował swój wzrok tam, gdzie stali bogacze — Mól, Zebrowski, Matusiak. Mogło to być zupełnie przypadkowe, ale dla części chłopów spojrzenie to i ruch ręką równało się najostrożniejszemu słowom. Istotnie zaraz potem tow. Wilczyński powiedział: — Co tu owijają w bawełnę, my wiemy kto nie umie w naszej wsi czytać i pisać. Powiem nazwiska: Ziółówna, Plachta, Żuk, Wiczorek... Ja wypowiadałem te nazwiska, ale czy to już mówi o wszystkim? Nie, trzeba by dopiero dodać: Ziółówna-służąca, Plachta-służąca, Żuk-odrodnik, Wiczorek-odrodnik i parobek. A potem trzeba by zapytać: kto winien?

Na tym pierwszym, „sejmowym” zebraniu gromady tow. Wilczyński starał się od razu przeciąć wrzód tam, gdzie on najwięcej dokuczał. Usiłował wykazać, że sprawa analfabetyzmu łączy się z całym szeregiem innych spraw i że mówić o podjęciu walki z tym złem w oderwaniu od spraw gospodarczych, społecznych i politycznych gromady to tak jak gdyby zajmować się leczeniem wrzodów nie zwracając uwagi na przyczyny choroby.

Bogacz Mól, który zabrał głos jeden z pierwszych po tow. Wilczyńskim, starał się zlagodzić „niektóre jaskrawsze i niesłuszne słowa” towarzysza sekretarza. Mól potrafił mówić długo i spokojnie. Miał zwyczaj trzymania lewej ręki na piersiach, wyglądało to jakby coś tam, podtrzymywał. Niektórzy twierdzili, że Mól chowa w tym miejscu portfel z pieniędzmi. Przemawiając teraz robił wrażenie, jakby naprawdę dzielił się z chłopami swoim skarbem ukrytym pod włochatą dłoń. Mówił nawet dość przekonująco — owszem, walka z zacofaniem, ciemnotą jest jednym z „lepszych” posunięć „obecnego” rządu i chłopci przyklaskują jej walce. Rząd może liczyć na jedność chłopów w tej sprawie i gromada da dowody tej jedności, jak daje dotychczas przeprowadzając we wsi elektryczność. Mól nawet zdobył się w tym miejscu na dowcip, który rozbawił kilku obecnych w tylnych szeregach — no i co, czy gryzą się nasze pieniądze, składki moje i obywatela Żuka na elektryczność?

Wies leżała jakieś siedem do ośmiu kilometrów na północ od szosy powiatowej. Domy były rozrzucone nieregularnie, można było rozróżnić jednak starszą wieś, skupioną koło postarzałego budynku szkolnego oraz kolonię. Te kolonie były świadectwem polityki bogaczy we wsi. Przed wojną chłopci mieli rozrzucone gospodarstwa w kilkunastu kawałkach. Mówiło się: Podboroskie, Kowalec, Glinki, Wierzbina, Piaski, Podgórze. I tak od Glinki do Podgórza było jakieś osiem kilometrów. Nikt we wsi nie oponował przeciwko komasacji. Ale dzięki zabiegom Móla, Zebrowskiego i Matusiaka w urzędzie ziemskim i gminie bogacze otrzymali najlepsze kaski, podczas gdy biedota musiała zadowolić się piaskami lub sapałami. Wytworzyła się taka sytuacja, że jądro wsi, tzw. starą wieś, zamieszkiwali teraz w przeważnej części mało i średniorolni. Najlepiej miał się pośród nich Maćkowski, właściciel 5 hektarów, najgorzej Szafranek i Żuk, którzy odziedziczyli po swych ojcach po półtora hektara. Ziemie dalsze poroźbierali bogacze i ich rodziny. Gleba tam była lepsza, urodzajniejsza, a przy tym gorzej sklasyfikowana. Np. Zebrowski, który miał dawniej 18 hektarów, po komasacji miał ich 24. Wkrótce komaści wsi wstęły nowe domy i kępy ogrodów.

Mól i Zebrowski zdobyli się nawet na przeprowadzenie przez swoje grunta osobnych drózek aż do drogi gromadzkiej, która szła do szosy. Dróżki były wysadzone akacjami i kiedy drzewka kwitły robiło to niezłe wrażenie.

W ogóle krajobraz wsi należał do ciekawych, okolica była pagórkowata, wzgórza układały się łagodnie półkolem w pewnej odległości od wsi, która leżała w kotlinie. Na wzgórzach rysowały się krzaki leszczyn i brzoź, zwiastujące pobliskie lasy. Droga gromadzka do szosy biegła słup. Była to właśnie owa linia „wysokiego napięcia” o której wspominał Mól. Ale słupy nie były jeszcze doprowadzone do samej szosy.

Z tą elektryfikacją było tak, że gromada postanowiła wykorzystać nadarżającą się okazję i przyłączyć wieś do sieci, która biegła szosą i obsługiwała miejscowości leżące

tuż przy niej. Plan państwowy przewidywał przyłączenie do sieci w najbliższym sześcioleciu także dalszych wsi, ale chłopci chcieli wyjść naprzeciw planowi. Partia pierwsza wysunęła projekt. Elektryfikacja mogłaby wszystkich chłopów, a przede wszystkim obojętnych i uzależnionych gospodarzo od bogaczy jakoś zdynamizować. A o to przecież szło żeby ruszyć wieś. I tu włączyli się do gry bogacze. Mól natychmiast zorientował się, o co idzie Wilczyńskiemu. Łatwo zdobył dla swoich planów pozostałych. Bogacze tak łatwo nie chcieli zrezygnować z przewodnictwa w gromadzie. Wiedzieli, że nie należy wypuszczać z rąk żadnej inicjatywy. Rachunek był prosty. Dotychczas oni byli mecenasami wszelkich akcji gromadzkich i tutaj nadarzała się sposobność uchwycenia inicjatywy w swoje ręce. Ostatecznie partia mo-

że planować, ale koniec końcem kto będzie za to wszystko płacił? Oczywiście, że największe udziały przypadną bogaczom, zatem oni winni mieć w tej sprawie głos decydujący. Ostatecznie nie jest to gra, która się nie opłaca. Wiadomo, czym jest w „porządnym” gospodarstwie taka siła, jak elektryczność.

Wkrótce zawiązał się komitet elektryfikacji. Mól i Zebrowski weszli do niego. Na zebraniach gromadzkich opodatkowano się 800 złotych z hektara i robocizną. Niedługo potem zaczęto stawiać słupy.

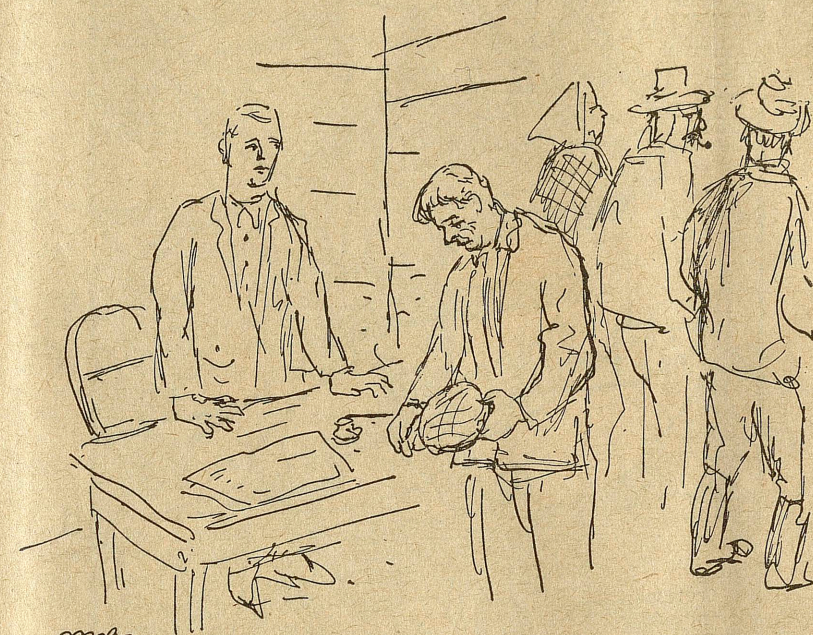
Sprawa więc od strony politycznej, jak stwierdzano, na zebraniach partyjnych, ważyła się. Istotnie chłopci „dali się ruszyć”. Ale bogacze grali na swojej strunie i sam fakt ich wejścia do komitetu mógł uchodzić słusznie za pewnego rodzaju zwycięstwo Móla. Oczywiście

ście tak oceniał sytuację Wilczyński i jeszcze kilku z partii, ale spora część chłopów nie widziała w tym nic specjalnie zdrożnego. Chodziło jednak o opinie całej wsi. Zagadnieniu temu poświęcone były dwa kolejne zebrania Podstawowej Organizacji. Wilczyński stawiał sprawę tak: walka z wyzyskiwaczem wiejskim na każdym kroku. Jeśli więc — nowi! — chwilowo Móle cieszą się swoimi sukcesami, to trzeba wymyśleć taką rzecz, która by ich pobila. A tą rzeczą będzie walka z analfabetyzmem.

Początkowo trudno było uchwycić myśl towarzysza Wilczyńskiego. Później zgodzono się. Istotnie — co to jest walka z analfabetyzmem — nic innego, jak włączenie pokrzywdzonych przez poprzedni ustroj obywateli do pełnego uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym gromady. Kim są analfabeci w naszej gromadzie, wykazał to Wilczyński na pierwszym zebraniu poświęconym tej sprawie. Podjął walkę z analfabetyzmem to znaczy odebrać bogatym ich dotychczasowych „klientów”, więcej — zwrócić ich przeciwko wyzyskiwaczom. Tak — był to dalszy etap walki klasowej i w tym oświeceniowej sprawie elektryczności nabierała nowego zabarwienia, walka zaś z analfabetyzmem stawała się zagadnieniem kluczowym.

Jednak sytuacja początkowo nie przedstawiała się prosto. Nauczycielka, Zofia Stachurska, meldowała, że już sama rejestracja analfabetów nastrocza wiele trudności. Zachodzi obawa, że we wsi jest więcej analfabetów, niż wykazują zgłoszenia. Sprawa miała być według nauczycielki „delikatna”. Tow. Wilczyński nie nazwał jednak sprawy delikatną a polityczną. Statystyki wykazywały, że największy procent analfabetów w kraju, bo około 75, to bezrolni, małorolni i średniorolni chłopci. Gdzie zatem należy szukać naszych chorob? I kto jest mecenasem tej choroby?

Nieraz do późnej nocy chybał się nikły płomyk lampy nafto-



Rys. Marek Rudnicki

KAZIMIERZ BARTYZEL

DROGA NA

Urodziłem się 4 sierpnia 1914 r. w Ostrawie Ślączekim powiat Bochnia. Dzieciństwo spędziłem beztrudno w Szczepanowie, bo ojciec przez 4 lata bronił w Bośni, Serbii, Tyrolu, sławie Habsburgów i potęgi nieboszczyka c. k. Austrii.

Po powrocie z poszarpaną przez szrapnele nogą — doszedł do wniosku, że z 1 morga podmokłej ziemi nadrabiańskiej nie utrzyma rodziny i przeniósł się na kolonię Poraj w gminie Horodło pow. Hrubieszów. Kolonia była marna, 4 hektary ziemi piaszczystej. Do roku 1945 „przednowek” był corocznym naszym gościem, 4 ha piaszku nad Bugiem pozwoliły utrzymać 1 konia i to nie stale, 1 krowę, 1-2 świnię i pewną ilość drobiu.

Życie w każdym razie co roku zamiast polepszać się, to z przyczynami nowych członków rodziny pogarszało się. Jako najstarszy musiałem pomagać ojcu we wszystkich pracach, aż do opuszczenia kolonii, to jest do r. 1931. Praca to była niełatwa — odbieranie zboża spod kosy, młócenie (w 12 roku życia) i odrobki u bogaczy. Najwięcej denerwowały mnie odrobki, stale zdawało mi się, że męczę się dla kogoś, kto sobie z mojej pracy wygodnie żyje.

Do szkoły powszechnej zacząłem uczęszczać normalnie, z tym, że czytać już dobrze umiałem, gdyż nauczyciel mnie przez zimę sąsiadka Nowakowa, dla której do dziś żywię wielką wdzięczność. Nauczycielem moim przez pierwsze 4 lata był młody, dzielny i rwący się do życia człowiek, Leon Szymanski. Sam dokształcał się, gdyż nie posiadał kwalifikacji, ale dla kolonii był człowiekiem „opatrznościowym”, bo nie tylko dobrze uczył, ale przyczynił się do wybudowania szkoły, założył Koło Młodzieży Wiejskiej, Koło Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich. Dla mnie był to wzór nauczyciela, któremu zawdzięczałem rozmawianie się w czytelni i drogę, którą sobie obrałem.

Klasy wyższe skończyłem w pobliskim Horodle, o której zamierzam osiedzić nad Bugiem. Po ukończeniu klasy szóstej zdawałem do III klasy Państw. Gimn. im. Staszica w Hrubieszowie. Nie zdałem z matematyki i religii i z niemieckiego, jak oświadczonej ojcu, a właściwie dlatego, że kandydatów było ośmiu, a miejsce jedno, które z góry było zarezerwowane dla ucznia z Sokala. Mogłem być przyjęty, ale do klasy III czyli rok wstecz.

Po ukończeniu klasy VII wróciłem do domu, jak i wszyscy moi rówieśnicy. O nauce dalszej nie było mowy. Aby zarobić na ubranie i buty sadziłem drzewka nad Bugiem. Pożar, który zniszczył ojcu cały dobytek, zniszczył też moją nadzieję wyrwania się w świat. Nowy rok szkolny zacząłem od wymowywania ze zgłiszczy spalonych obrymami od wozu i młynka.

Rok ten był dla mnie męczarnią. Ale w następnym roku, kiedy obrabiałem szarwark koło szkoły, zobaczyłem afisz o zapisach do Seminarium Nauczycielskiego w Szczepanowie. Wiedziałem, że to jest to, co mnie nadzieje na dalsze studia. Ojciec też parł do tego. Kwestia podania, świadectwa lekarskiego została załatwiona w ciągu 3 dni. Ku mojemu nieopisanemu radości dopuszczono mnie do egzaminu, który złożyłem pomyślnie mimo przerwy rocznej w nauce tylko dzięki wielkiemu czytaniu, jak ocenili to polonista, a obecny wizytator lubelski Schreier Wacław.

Teraz dopiero zaczęła się tragedia. Kierownictwo internatu określiło kategorię wymaganej ilości bielizny i pościeli. Tymczasem metr zysa spadł na 12-9 zł, a jako na 3 gr. Jak pokryć koszty internatu wynoszące 45 zł miesięcznie, o tym nie miałem pojęcia. Wiedziałem, że chcę i muszę się uczyć. Niedługo trwała radość z pobytu w Seminarium, bo po tygodniu dyrekcja odeślala mnie po pieniądze. Pożyczka 100 z w wspomnianego wyżej nauczyciela Szymańskiego uratowała sytuację na jakiś czas. Drugi rok zaczął się gorzej, gdyż pogłębiający się kryzys nie pozwolił ojcu wydobyc grosza, a wypalone latem piaszczyste zagony poza żytem, owszem i ziemniakami nic nie dały. Zresztą coś można było tego zboża sprzedać, jeśli 1/4 trzeba było zwrócić za przedwzrostowy kredyt, a z reszty zapłacić podatki, okryć, nakarmić pozostałe w domu 9 gab.

Nie dziwnego też, że pewnego dnia Rosjanka, przypadkowo będąca u mej gospodyni, gdzie się przeniosłem z internatu, znalazła mnie bledzącego w gorączce głodowej. Alarm podniesiony przez nią wstrząsnął szkołą, przyszedł lekarz, wezwano telegraficznie ojca i po konferencji kazano mi zabrać mnie do domu, skąd miałem co kwartał dojeżdżać i zdawać jako ekstern. Wiedziałem, że to wybieg tylko, by się mnie pozbyć, a ja miałem wciąż przed oczyma izy ojca za szczybą poczekalni i moje postanowienie powzięte wtedy, że nie dam się.

I nie dałem się. Interwencja prof. Niteckiego Benona i obecnego dyrektora Liceum w Tomaszowie prof. Krzyska spowodowały, że zostałem. Poznanie kilku robotników ułatwiło mi otrzymanie pracy fizycznej w cukrowni Klemensów, odległej od szkoły 3 km. i pozwoliło wreszcie odetchnąć, że jutro dyrektor nie wysłał mnie ze szkoły do domu po pieniądze. Dzień miałem podzielony w ten sposób, że lekcje kończyłem o 13.30 a o 14 już na głos syreny zaczynałem pracę. Praca była ciężka, bo w kilkunastogodzinnej stopniach gorąca i trwała bez przerwy 2 godz., a wolną godzinę wykorzystywałem na naukę, by znów ciągnąć w piekielnym upale dalsze 2 godziny i tak aż do 10 wie-

czorem. O tej porze wracałem do internatu (przez płot, bo brama była zamknięta), budziłem mego przyjaciela Włodka Zajacę (dzisiaj dzielnego i cenionego inżyniera górnik na Śląsku), z którym po cichu zamykałszy okno salki i od 23-ej do 1-2 rano, póki nie zgłosił światła, słuchałem objaśnień matematyki i fizyki, w których mój przyjaciel był celujący.

Praca naturalnie była wiadoma tylko kilku kolegom, dyrekcja i profesorowie nie o niej nie wiedzieli. W fabryce byłem jakby dzieckiem robotników. Tam też tow. Buczek poznał mnie z dziełami Marksa, które w tajemnicy kolportowano i tam też w dyskusjach, którym się przysłuchiwałem i w których brałem udział, krystalizował się mój światopogląd.

Tyfus brzuszy rzucił mnie na łóżko szpitalne, a miejsce moje w pracy zajął przyjaciel Włodek Zajac. Jakoś wyleczyłem się.

Wróciłem do szkoły. Tu czekały mnie 3 oceny niedostateczne — „z powodu zaniedbania się”. Jakoś wykaraskałem się i trzeba było przenieść się ze Szczepanowskiej do Leśnej Podlaskiej, gdy nasz zakład z pięknym dorobkiem, wysokim poziomem naukowym, dobrymi nauczycielami zlikwidowano.

Seminarium w Szczepanowskiej miało chlubną swą kartę. Wyszli z niego tacy, co otrzymywali po maturze 8 lat więzienia w Zamostcu za „komunę”. Dyr. Cybulski, prof. Krzyski, Malik, Nitecki, Fenc, dr Klukowski, ks. Krukowski przeniesieni za „wolne poglądy” aż do Mołodeczna — to grono, które dobrze się zasłużyło na polu oświaty.

Pobyt mój w Leśnej Podlaskiej trwał krótko, bo zaledwie pół roku. Zakład rzucony w lasy i piaszki Podlasia, między klasztor Paulinów i więzienie nie nastrojał mnie już tak do pracy, jak poprzednio, toteż przenieśliem się do Krakowa.

W Krakowie odpadła przynajmniej kwestia internatu, bo mieszkanie kosztowało 8 zł a życie 7. Kupowało się bochenek morawskiego chleba na Rajskiej za 23 gr i żyło się po wypiciu wody z kranu cały dzień.

Dziwny był zespół kolegów w Krakowie. Były to różne odpadki z gimnazjów, czasami nawet wykolejeńcy, którzy przewędrowali sporą ilość szkół popychani przez protekcję i bagiana różnych mamuszy. W każdym razie w zespole, z którym uczęszczałem, na 40 kolegów moich 5 poszło na nauczycieli („tych najgłupszych”), a reszta dzisiaj to kupcy, spółdzielcy, szoferzy, urzędnicy, a nawet zawodowi kawiarniani muzycy, natomiast wyżej opisane seminaria prowincjonalne dawały prawie wszystkich oddanych pracy nauczycielskiej kandydatów. Poziom naukowy był też znacznie niższy od po-

C A D Ł A

wej w izbie Wilczyńskiego, albo w szkole u nauczycielki, gdzie najczęściej odbywały się narady. Zdarzyło się, że swit zastawał jeszcze chłopów radzących nad jakimś zagadnieniem. Odkrycie jeszcze jednego członka organizacji partyjnej, tow. Szafranca, przekonało jak trudny jest ten problem.

Tow. Szafraniec wstąpił do partii niedawno, gdzie na początku 49 roku. Do organizacji wciągnął go tow. Wilczyński. Szafraniec uprzednio nie należał do żadnego stronnictwa, jego pozycję w gromadzie określała funkcja parobka i odrobniaka. Szafraniec wynajmował się do sezonowych robót u bogaczy, zwłaszcza prowadził ożywione stosunki gospodarcze z Mólami, który go wykorzystywał do rozmaitych. Szafraniec miał rodzinę złożoną z pięciorga osób, żył jeszcze stary ojciec, który na własne wyplatał koszty z wikliny i w ten sposób pomagał synowi, była poza tym żona i troje dzieci. Trudno było wyżyć z półtora hektara i u Szafranców stało się przedmiotem. Mimo nędzy Szafraniec nie pozwolił dzieciom iść na służbę, pilnował, żeby regularnie chodzili do szkoły. — To, co mnie odjęto, wy otrzymacie — mówił często i harował po całych dniach, aby dzieci mogły spokojnie się uczyć. Ten jego upór i cicha, zawzięta walka z przeciwnościami zwróciły uwagę członków partii, którzy postanowili mu pomóc. Dzieci uczyły się dobrze, najstarszy Zenon został skierowany w 48 r. do gimnazjum. Szafraniec chodził uradowany po wsi, miał być z czego dumny, zdawał mu się, że dorównywał już Mólowi, którego wszyscy dzieci uczęszczały do gimnazjum. Ten nastrój chłop wykorzystywał Wilczyński, który podsunął mu nową myśl, aby Szafraniec wspólnie z Żukiem i jeszcze jednym z sąsiadów założyli grupę plantatorów buraka cukrowego. Odebrało to chłopów od bogactwa, który widząc, że mu odpada jeszcze jeden „klient” poczęł Szafranca szykanować. Chłop poczuł za sobą siłę: w krótkim czasie stał

się najzawziętym wrogiem bogacza, walcząc z nim na każdym kroku i odkrywając niektóre jego tajemnice; zaskoczył zwłaszcza Mółowi wyjawieniem ukrytych dochodów zbożowych, kiedy bogacz w tym samym czasie wnosił podanie o obniżenie stopy podatkowej. W tym czasie Szafraniec zaczął uczęszczać na zebrania partyjne i wkrótce złożył deklarację przystąpienia do partii.

Nikt nie podejrzewał Szafranca, że jest analfabeta, bo jakkolwiek do szkoły przed wojną nie chodził, to jednak wiadomo było, że umie się podpisywać. Więcej, przed wojną, kiedy był na służbie u Móły, często żyrował weksle bogacza, który mając swojego poręczyciela uwalniał się w ten sposób od przysług innych bogaczy i sam nie wysiadał nikomu podobnych „grzeczności”.

Odkrycie kalektwa Szafranca nastąpiło zupełnie niespodziewanie podczas jednego z zebrania, kiedy tow. Wilczyński nakazał mu w pewnej chwili spisać obecnych. Nikt nie spostrzegł zmieszania Szafranca oprócz Wilczyńskiego, który tę sprawę zatuzował, a na drugi dzień zebrał posiedzenie egzekutywy partyjnej.

Sprawa Szafranca była wtedy sygnałem alarmowym i ukazywała w nowym świetle walkę z analfabetyzmem. Tym razem egzekutywa skrytykowała mocno tow. Wilczyńskiego, że zlekceważył i nie wykozystał organizacji masowych, zwłaszcza ZSCH, Ligi Kobiet i ZMP. Można było cały szereg osób wciągnąć do pracy, zwłaszcza w zakresie indywidualnego przygotowania niektórych analfabetów do egzaminów przed społeczną komisją egzaminacyjną. Chodziło tu zwłaszcza o sytuację wyjątkową jak np. tow. Szafranca. W sekretariacie organizacji leżały trzy zgłoszenia zetempowców, którzy ochotniczo chcieli pomagać w nauczaniu analfabetów. Proponowali oni nauczanie indywidualne w wypadkach, gdyby niektórzy chłop

krępowali się przychodzić do szkoły.

Tow. Szafraniec nie zgodził się na „osobną” naukę. Przeciwnie, nawet z pewnego rodzaju demonstracją zapisał się na kurs po krytyce partyjnej, która mu wykazała, że błąd jego polegał na braku zaufania do partii i towarzyszy. Wbrew ironicznemu uśmiechowi Móły, który go zagadywał, czy potrafiłby odczytać weksle, podpisywane przez siebie, chodził regularnie na lekcje. Ale też z większą niż dotychczas zawziętością począł pomagać tow. Wilczyńskiemu w akcjach podejmowanych przeciwko bogaczom, zaczął się interesować zwłaszcza postępowaniem prac elektryfikacyjnych, wglądał w wykazy wplaconych składek i odbytych szeregów.

Właściwie okazało się, że Szafraniec był powrotnym analfabeta i



Rys. Marek Rudnicki

ski, który jeszcze do niedawna uchodził za dobroczyńcę Katarzyni Płachty. Zebrowski zaraz po śmierci starych Płachtów opierając się na jakimś powinowactwie przysięgał do siebie małą Katarzynę. Katarzyna spadła mu, jak się to mówi, prosto z nieba. Potrzebował na gwałt pastuchów, skąpy był i z góry martwił się, ile trzeba będzie płacić jakiemuś wynajętemu „dziać” — Przyjęcie Katarzynę ratowało sytuację. W parę lat później, kiedy „ujno” Zebrowska zachorowała na nogi, Katarzyna zastępowała gospodynią i często nawet parobka. Od 1923 do 48 roku Katarzyna była na „wychowaniu” u Zebrowskiego, który jej nie nie płacił. Oczywiście Zebrowski był innego zdania i powtarzał, że mu się nie opłaci „skórka za wyprawę”. Niektórzy chłopcy mówili — mocie wygode z Kaśką — Zebrowski machał drwiąco ręką. — Co ta z tym tłumokiem się robi, tyle, co kłopot!

Zyciorys Ziółówny był podobny. Ziółówna skończyła przed wojną 3 klasy szkoły powszechnej, dalej uczyć się nie mogła, musiała iść na służbę. Z czasem „zapomniała liter”. Stary Ziół miał dwa hektary ziemi i czworo dzieci.

Sprawa zatem na obecnym etapie wyglądała tak, że we wsi działały, jeśli tak rzecz można, dwie przeciwne siły: bogacze i partia. Za partią szli „klienci”, niektórzy średniacy oczekiwali. Bogacze i partia starali się oddziaływać na średniaków. Najpoważniejszym terenem tej walki była akcja zwalczania analfabetyzmu.

Zaraz też po pierwszej lekcji wypłynęła sprawa nieobecności kilku kursistów. Opiekun społeczny mając poparcie Podstawowej Organizacji uczynił z tego alarm na całą wieś. Na 14 uczestników kursu nieobecni byli: Katarzyna Płachta, Janina Ziółówna, Stefan Żuk, Adam Miernik. Płachta musiała w tym czasie pomagać przy młócie, Ziółówna zatrzymała matusiaka, Żuk był na odrobku, a Miernik nie przyszedł, bo był zajęty „koko domu”. Fronckowiak wyślugał z tego konsekwencje wysyłając odpowiednio pisma do Matusiaka, Móły i Zebrowskiego. Jednocześnie członkowie Podstawowej Organizacji komentowali na wsi postępek bogaczy, jako akt wrogi skierowany przeciwko chłopom, pozostający w sprzeczności z obecnym oświatowym „teją” żółtej mordercy, jak Szafraniec nazywał Mółę.

Dopiero na piątą czy szóstą lekcję zebrał się pełny komplet. Nauczycielka zastosowała tutaj pewien chwyt, który uczynił z lekcji oskarżenie skierowane przeciwko bogaczom. Każdy z uczestników kursu wstawał po kolei i mówił o przyczynach swojej nieobecności na poprzednich lekcjach. Widać było, że słuchający przejmują się więcej cudzym niepowodzeniem niż swoim. Swoją rolę w tym powzięciu, ciężkie, codzienne jarzmo, do którego się przywykło od wielu lat, że trzeba było cudzego nieszczęścia, aby się w nim przeżyć, jak w luźnej. Kiedy Katarzyna mówiła: — Na pierwszej lekcji gospodarz ka-

na drugiej pojechał do miasta, a ja musiałam opatrzyć gospodarstwo, kiedy była trzecia lekcja, to ja musiałam iść do Matusiaka, gospodarz winien mi być z kolei pomóc przy młócie, zresztą mówił, że na moje wykształcenie to i tak czasu starczy. — Żuk nie wytrzymał i krzyknął — A, skurwysyn! Wcale to zebrań nie rozmieszyło, choć często reagowali śmiechem na częste przekleństwa Żuka. Przeciwnie, jego przekleństwo było pierwszym zbiorowym, odruchem buntu najbardziej upośledzonych dotąd członków gromady.

Nauczycielka wprowadziła później zwyczaj zaczynania lekcji pytaniem. — Co słychać we wsi? Uczniowie rozgadywali się o miejscowych bólach, wytworzyła się atmosfera wspólnoty, tym bardziej, że kursisti rekrutowali się przeważnie z malarolnych, trzech tylko miało powyżej 4 ha, więc i kłopoty były podobne. Z czasem nauczycielka wyrobiła sobie pewien system pytań, które łączyły się tematycznie z bieżącą lekcją. Omawiała konkretny wypadek, który zdarzył się we wsi i w ten sposób kruszyła krok za krokiem mur starych poglądów. Tow. Szafraniec nazywał to budzeniem świadomości politycznej. Sam kurs miał niesłychanie ważne konsekwencje społeczne.

Wypłynęła najpierw sprawa Katarzyny. ZMP przeprowadzała wówczas kampanię w obronie parobków i służących i Fronckowiak jako opiekun społeczny i przewodniczący ZMP postawił tę sprawę przed kursistami. Dlaczego Zebrowski nie płaci Katarzynie? Z jakiego tytułu ją wykorzystuje? W jakim czasie potem, kiedy Fronckowiak zebrał materiały dowodowe i w stosunku do innych kursistów, wytoczył sprawę Katarzynę, Ziółównę i Żuka. Jak się należało spodziewać bogacze stawili opór. Nie chcieli słyszeć o ustępstwach. Ale to tylko rozjaśniło sprawę i jeszcze bardziej wzmocniło front „klientów”. Kursiści weszli w nowy etap — zorganizowanej walki o swoje prawa.

W domu Zebrowski urządził teraz awanturę Katarzynie, ale ta odpowiadała mu na każdy jego atak. Zebrowskiego śmieszyły początkowo uwagi Katarzyny, widział w nich nieudolne powtarzanie zdań Wilczyńskiego, lecz niebawem spostrzegł, że dziewczyna na wiele spraw patrzy teraz inaczej niż dawniej. Zaczął być nawet ostrożny w wypowiedziach przy niej i żalił się Mólowi, że ma splegawę w domu. Później przestał się wdawać z nią w rozmowy, w chwilach zdenerwowania odsyłał ją do wszystkich diabłów. Dziewczyna odpowiadała, że woli towarzystwo diabłów niż kłaków.

Niebawem wieś przeżyła jedną z sensacji — Katarzyna opuściła Zebrowskiego i w kilka dni potem otrzymała pracę w gminnej spółdzielni Samopomoc Chłopska. Było to w czerwcu, a więc w jakimś pół roku, odkąd Katarzyna zaczęła uczęszczać na kurs.

To była historia, która bezpośrednio dotykała Zebrowskiego, ale i Mół był też oburzony. Nic innego, tylko Wilczyński, albo ten „mędrak” Szafraniec podburzył Katarzynę, bo skądby zaraz i pracę otrzymała? Cios spadł zbyt nagle, by Zebrowski mógł temu przeszkodzić. Któregoś dnia rano bogacz naprzorno oczekiwał na śniadanie. Zaszedł do kuchni, gdzie Katarzyna spała i zaniepokoił się wyjątkowym porządkiem, jaki zastał. Łóżko było zasłane, kuchnia zamieciona, garnki oczyszczone. Brakowało świętego odzienia Katarzyny. Poczuł niepokój, który koło południa przeszedł w pewność. Katarzyna uciekła. Wówczas jakby się wściekł, jednym kopnięciem nogi rozwalil przyć Katarzynę i poczęł tak kłać, że parobek i pastuch zniknęli mu z oczu na cały dzień. Potem nie uczyniła już na nim większego wrażenia wiadomość, że Ziółówna otrzymała pracę w fabryce i jednocześnie chodzi do szkoły zawodowej. Nawet się do pewnego stopnia ucieszył, że i Matusiaka spotkała podobna przyjemność.

Zdawało by się, że elektryfikacja wsi i awans Katarzyny i Ziółówny są to odległe i nie mające nic wspólnego ze sobą sprawy. Mół i Zebrowski przekonali się, że tak nie jest. Ciężkie ale skuteczne zmagania analfabetów z bogaczami pobudziły wieś do czujności. Zaczęto inaczej patrzeć na pewne sprawy. Dzięki na przykład Katarzynie, która odkała zaczęła chodzić na kurs, przysłuchiwała się uważnie rozmowom swojego gospodarza z sąsiadami (dawniej nie liczyła się, była niemal rzeczą, można było przy niej wszystko mówić) wyszło na jaw, że Mół i Zebrowski i Matusiak od kilku miesięcy stosowali specjalną taktykę szantażu wobec sprawy elektryfikacji. Sami zalegali z opłatą składek, podczas gdy z pewnego rodzaju nadgorliwością ściągali te składki od biedaków. Żuk również zwrócił uwagę podczas jednej z lekcji, co potwierdzili inni, że wydaje mu się podejrzana postawa skarbnika Zebrowskiego. Szafraniec postawił tę sprawę na zebraniu Podstawowej Organizacji. Próbowano odcyfrować politykę bogaczy i jak wykazały późniejsze wypadki, odcyfrowano słusznie.

No tak, dla bogaczy elektryfikacja nabrała teraz innego znaczenia. Okazało się, że akcja z analfabetami dała już pewne rezultaty. Wraz z poznaniem abecadła litero-

wego kursieci poznali abecadło polityczne. Żuk na przykład siedział w szkole na miejscu swojego syna i codziennie wpatrywał się w jakiś napis na ławce nie mogąc go odczytać. Dopiero po paru lekcjach, kiedy nauczył się za nauczycielką przerysowywać swoje nazwisko dokonał ośniewającego odkrycia: przeczytał swoje nazwisko wymalowane atramentem na ławce. Ale wraz z radością ze swojego zwycięstwa targnął nim i gniew, że syn niszczy doświadczenie. Sam te ławki przywoził zaraz po wojnie.

Bogacze widząc, że walka z analfabetyzmem daje pewne rezultaty, czasami dość nieoczekiwane i nieprzyjemne dla nich, postanowili uderzyć w tę akcję. Bezpośrednio nie mogli, do szkoły nie mieli dostępu. Ludzie też odwracali się od nich. Coraz trudniej było nawet o robotnika w czasie gorętszych robót pólnych. Postanowili uderzyć w elektryczność. Tu mieli jeszcze wpływy. Uderzyć zaś w elektryczność to znaczyło to samo, co podjąć inicjatywę gromadzką. Zasiadł nieumarę, że bez nich i bez ich pomocy gromada nic nie wykona.

Żuk miał rację. Zebrowski prowadził dość ordynarną grę. Udało mu się polityką składową wywołać tu i ówdzie pewne zamieszanie. Niektórzy chłopcy poczęli sarkać. Na co elektryczność? I bez niej można żyć. Na czerwcowym zebraniu komitetu elektryfikacji czekało jednak bogaczy nowe rozczarowanie. Tow. Wilczyński postawił wniosek, aby Mół i Zebrowski ustąpili z komitetu, gdyż od kilku miesięcy, jak wykazały badania tow. Szafranca, wyraźnie sabotują pracę komitetu. Mół zakwestionował ważność badań Szafranca, Wilczyński jednak odpowiedział, że tow. Szafraniec miał zlecenie od partii zbadać dokładnie tę sprawę. A partia ma obowiązek zajmować się sprawami wsi.

Szafraniec wówczas wyjął swoje notatki, widać było, że układa je z pewnym upodobaniem. Był to jego pierwszy występ publiczny w którym posługiwał się zapiskami. Mół z pewnym niepokojem poczęł wpatrywać się w ostrą twarz swojego byłego parobka. Szafraniec wolno i dobitnie poczęł kręcić dowody winy bogaczy.

Podczas przemówienia Szafranca Mół był na pozór spokojny, widać było jak usiłuje zlośliwie uśmiechnąć się pod złotym wąsem i jak ręka drga mu nerwowo na pierśsiach. Ale Zebrowski, ten był znany ze swojej porywczoności, przed wojną zbił za jakiegoś przewinienia parobka tak straszliwie, że chłopaka musiano odstawić natychmiast do szpitala. Teraz zaciśnął ogromne pięści i gdyby Mół jakimkolwiek ruchem okazał swój gniew, na pewno by się rzucił. Ale krzyknął tylko: — Róbta se same, cholery! — to „cholery” podniósł do niemożliwej wysokości — i wybiegł, a za nim Mół.

Tak, historia była już jasna. Wiadomym było, że na bogaczy nie tylko nie należy liczyć, ale trzeba z nimi walczyć. Zebranie dookołowało jako nowych członków komitetu tow. Szafranca i bezpartyjnego Żuka.

Żuk potem na kursie dla analfabetów mówił: — „Widzicie, jaka jest ich polityka, tylko sobie do brze, a biednemu gównu. Żuk pochodził od Skapy spod Krakowa, nazywano go we wsi skalanem. Mówiąc przeciągał ostatnią zgłoskę, co nieraz dawało osobliwe efekty i trochę śmieszyło chłopów. — „No, patrzcie, jaki to podły naród. Dotąd pchał sprawę, dopóki myśleli, że sami będą obrastać w piórka, ale jak zobaczyli, że obraca się to na korzyść najbiedniejszych, to już ich nie ma. Od początku powinniśmy byli robić bez nich. Gryzie ich to, że Ziółówna poszła do fabryki, gryzie ich nasza nauka, że czytamy gazety, co, nie psuwały!”

Kiedy Wiczeorek mówił o tym fakcie na kursie z pewną niewiarą w powodzenie dalszego dzieła elektryfikacji, z końca sali odezwał się chryplywy Miernik: — „Bez nich zbudujemy elektryczność”. — Miernik był to stary chłop, który przed wojną więcej noy przespisał w areście gminnym niż w domu na własnym łóżku. Różne to były skierowania sądowe — za nieopłacone podatki, za ułudzenie sekwestrowi, za rzekomą kradzież z lasu Zebrowskiego, można by długo wyliczać. Akta rosły i pokrywały się kurzem. Trzeba było nawet założyć osobną teczkę na nie. Były jak klamry zamykające świat przed odrobkowym chłopem Miernikiem.

Na kursie Miernik odważył się ciężkie drzwi, które trzymały zaduch. I teraz dodał: — „Myśny powinni tu pomóc obywatelcie nauczyciele, żeby w odpowiedzi na te podstępne kulackie ukoniecz kurs dla analfabetów o miesiąc wcześniej, niż zamierzaliśmy”.

Tadeusz Papier

PRZEZ OŚWIATĘ MAS DO TRWAŁEGO POKOJU

UCZYCIELA

złomu w Leśnej czy Szczębrzeszynie. Uwagi te odnoszą się oczywiście tylko do roku 1936.

W roku 1936 otrzymałem upragnione świadectwo z prawem nauczania w szkołach powszechnych.

Zdobytą papier otwierał drogę do chleba, ale go nie dawał; trzeba go było sobie wywalczyć w parutysięcznej ruszy starającej się o to samo. Tu się zaczęły wędrowniki i wycieranie klamek. Półki się było w wojsku, to pan naczelnik wydziału personalnego był grzeczny i obiecywał, ale gdy się przyszło po wojsku w cywilnych łachach, to pan naczelnik na zdanie: „Panie naczelniku, w domu na 8 morgach piachu wegetuje 9 rodzin młodszych ode mnie i do brze by dla Polski było, gdyby się to wykształciło, bo na czym w domu zostanie”, odpowiadał nie do proszącego ale do kilku dystyngowanych pań: „Proszę pań, a co mnie obchodzi, że ojciec tego młodziana miał tyle dzieci, czy ja mu je kazałem mieć? O dobro Polski ma kto się martwić i troska pana, młodzieńcze, jest zbyt duża”. Podanie jednak przepisowo złożyłem i o zgroszę — prosiłem w nim o Kraków-powiat. Urzędnik przyjmujący je, pan Wojewoda przeczytał, popatrzył na mnie i mówi: „Czy pan zwariował? Kraków-powiat, pan wie, co trzeba mieć? 25 lat pracy”. „Kiedy ja chcę się dalej uczyć”. „Za Wilno do Sarn pan pójdzie”. „Ludzie Bogu za posadę dziękują, a ten jeszcze ma wymagania — uczyć mu się zachciewa. Od kiedy to pies trawę je, a koń szczerka”. Dopiero później dowiedziałem się, że to oznacza, iż chłop ma rolę, a inteligent naukę, tak mi to wytłumaczyła koleżanka z Wieliczki, której to samo powiedziała profesorka. Dawano mi w Kielcach bezpłatną praktykę, ale już jej nie wzięłem, bo zacząłem pracować w inspektoracie szkolnym, potem jako wychowawca dzieci głuchoniemych, w końcu jako nauczyciel zastępujący chorą nauczycielkę w szkole głuchoniemych.

Rozzuchwalony tym, że żoładek był syty, ja ubrany, zgłosiłem się na Uniwersytet Jagielloński, gdzie zapytałem się tylko, czy po seminarium nauczycielskim mam prawo studiowania na Uniwersytecie. Odpowiedziano mi, że jeśli napiszę pracę na poziomie magisterskim, to owszem. Odpowiedziałem, że „jeśli potrafię napisać pracę magisterską, to po co uniwersytet” i na tym skończyła się moja znajomość z U. J. w roku 1938. W Krakowie przed wojną uważano, że człowiek zaczyna się dopiero od magistra, dla mnie w ówczesnym systemie droga do tego szczytu była zamknięta. Dnia 1 stycznia 1939 r. otrzymałem posadę nauczyciela kontraktowego z pensją 145 zł, ale tu koniec mej roli do zawodu nauczycielskiego i inna już historia.

Jak rzucić okiem wstecz na „opisaną drogę, która według opowiadań kolegów jeszcze nie jest „dnem nędzy”, to widzę wyraźnie nie tylko chaotyczną produkcję i z w. inteligencji, tak właściwą ustrojowi kapitalistycznemu, ale też albo straszne niedołęstwo, albo strasne łajdactwo ówczesnych sfer rządzących. Produkowało się tysiące nauczycieli, które czekały po 8-11 lat na posadę i które marnowały najcenniejsze lata, a taki p. major, kapitan, czy nawet pułkownik był osadnikiem na kilkudziesięciu ha koło Lucka, brał emeryturę odpowiadającą randze, pracował w Banku Rolnym lub Izbie Skarbowej, a żona jako nauczycielka, gdyż chciała mieć swoje pieniądze na drobne wydatki. Dziesięć lat dzieli nas od tamtych czasów, ale jakaż strasna przepaść!

Rok 1945 zastał mnie na stanowisku kierownika szkoły w Stanisławie Dolnym k. Kalwarii Zębrowskiej. Zacząłem wtedy równoległe prace: nad sobą i nad szkołą. Wychodziłem z założenia, że leczyć może tylko zdrowy, a więc tak samo uczyć może tylko ten, kto sam coś wie. W roku 1945 drewniany budynek - rudere doprowadziłem do stanu używalności (4 klasy) i przez przyłączenie do naszej szkoły trzech najstarszych klas z sąsiednich trzech szkół oddalonych od nas w promieniu 4 km, uzyskałem około 300 dzieci, dzięki czemu wywalczyłem powoli sześć etatów. Ilość uczniów w szkole podniosła się do 160 do 300. Założyłem kurs 7 klasowy, zdolniejszych słuchaczy udaje mi się wtykać do liceów, z których szybko wychodzą nauczyciele i dziś pracują z zapalem. Do dziś „na sumieniu mam 12 nauczycieli. Sam robię z żoną egzamin praktyczny, zapisaliśmy na Wydział Humanistyczny U. J., a w 1947 korzystałem z urlopu płatnego i robię KWN grupy polski-historia, a równocześnie dalej studiuję U. J., na którym kończę obecnie zdawać egzaminy.

Tematem, który mnie nurtował, było czytelnictwo wsi. Za najlepsze ponoć rozwiązanie na konkursie o podobnej tematyce „Czytelnik” przyznał mi 2-gą nagrodę w sumie 25.000 zł. Dziś moja wieś na wystawie ruchomej w Kalwarii zdobyła za najlepsze czytelnictwo aparat radiowy dla szkoły wartości 61.000 złotych. Rok temu dzięki ofiarności wsi i poświęceniu pewnych jednostek udało się kupić plac pod nową szkołę, w przepięknym miejscu, skąd rozciąga się widok w promieniu 60 km. Obecnie po zadołowaniu wapna wozu się kamień pod fundamenty. Jeśli stanie kiedyś szkoła, będzie to wspaniały budynek: prawdziwy pomnik Polski Ludowej.

Po co to wszystko wymieniałem stylem kronikarskim? Nie po to, aby się chwalić własną pracą, ale

po to, aby na podstawie powyższych konkretnych faktów przeanalizować rolę nauczyciela i szkoły w terenie.

Dziesięcioletnia obserwacja nauczyciela pozwoliła mi na wysunięcie pewnych wniosków, które życie potwierdza.

Rola nauczyciela na wsi jeszcze jest różnorodna i nauczyciel idealnie, a taki tylko wkrótce będzie na wsi, musi sobie z tego dobrze zdawać sprawę.

Co może dać z siebie nauczyciel wsi, i co może wiecej wymagać od niego? Przede wszystkim rzetelnie podać dziecku szkolnemu wymagania programami wiedzy. To jest fundament jego pracy. Rzetelna, uczciwa wiedza utrwalona przez częste stosowanie jej w życiu, to owoc jego pracy.

Druga podstawowa rzeczą to w oparciu o skryształizowany światopogląd marksowski - leninowski ukazywanie jasno wsi drogi przez spóldzielczość do lepszego jutra. Trzecią rzeczą, którą może i winien z siebie dać, to likwidacja analfabetyzmu. Na dalszym planie może być i jest, akcja kulturalno-oświatowa, która objawia się w różnych formach, zależnie od jego zamierzeń i udołżeń. Do najważniejszych z nich zaliczam czytelnictwo.

*

Nadszedł nowy rok szkolny, ważniejszy przez to od innych, jest to pierwszy rok realizacji Planu 6-letniego. Każdy przed rozpoczęciem jakiegokolwiek pracy stawia sobie określone wymagania, które chce zrealizować.

Co ja mogę, jako kierownik szkoły wiejskiej przed sobą postawić? Jest wiele zadań, które należało by zrealizować, ale to lekko-myślnie proponuję wiele, zrobi ma, dlatego też muszę ograniczyć się do istotnych i najbardziej palących, a nimi dla mego terenu są:

1. Realizacja w możliwie wysokim stopniu programów i solidne ugruntowanie wiadomości uczniów.
2. Likwidacja całkowita analfabetyzmu.
3. Dalsze poszerzenie zakresu czytelnictwa prasy i książek.
4. Odpowiednie skierowanie i nastawienie do pracy kl. VII.
5. Budowa szkoły — przygotowanie cegły.

A wymagania dla siebie i swego grona?

1. Kończyć egzaminy uniwersyteckie.
2. Złożyć egzamin ideologiczny i przygotować swoje grono.
3. Poszerzać i pogłębiać swe wiadomości z psychologii i pedagogiki radzieckiej.

Kazimierz Bartyzel

Na szlaku ZMP-owskich brygad

Rośnie M. D. M.

W ŚRÓD gruzów błyszczy czerwona świeża wyłakierowana tablica: „M. D. M. — Marszałkowska Dzielnicza Mieszkaniowa. — Tu pierwsza zetempowska Brygada prowadzi wiertnicze roboty przy PPB „Hydrotrest”, Oddział V w Warszawie”.

Na podwórzu rozbitego domu stoi ustawiona wieża wiertnicza. Czterech członków brygady: Ostrowski, Łojcis, Stys i Huzarski za pomocą klucza boroowego wkręcają swider w ziemię. Kolega Adamczyk, młody majster brygady o szerokim czole i bystrym spojrzeniu śledzi zagłębienie się swidra i odmierza całkowitą.

— No i co? Jesteśmy na szóstym metrze. Sprawdzamy! Co, woda? — Na szóstym metrze woda! — oznajmia Adamczyk, koleś Rutkowskiemu, młodemu technikowi, który siedzi na kamieniu w rozbitej bramie.

— Robimy stójkę! — energicznie mówi Rutkowski. — Poczekamy! Trzeba przekonać się, do jakiego poziomu sięgnie lustro wody.

— No to co? Nie ma co tu sterować! — mruży Adamczyk, widocznie niezadowolony z przerwy w robocie. — Dalej chłopa! Zabieraj statki i sio! Idziemy do swojej budy pod czternastym.

Pod czternastym na podwórzu zarosłym trawą i jakimś kwiatkami stoi sklepiona z desek budka z narzędziami wiertniczymi i bateriami stojów i flaszek z próbkami gleby i wód napotkanych przy wierceniach.

W tej chwili na podwórzu wchodzi kolega Kuczyński, inspektor ZOR-u, dwudziestoletni szczupły brunet w szarym ubraniu. Rozgląda się badawczo.

— Koledzy z brygady „Hydrotrestu”?

— Tak! — Kuczyński jestem! Pełnię funkcję inspektora z ramienia ZOR-u. Jestem studentem z drugiego roku Politechniki, teraz już z trzeciego... — poprawia się szybko. — Chciałem was poznać i zobaczyć, co robicie. Który z was jest majster?

— Ja, Adamczyk... Nawet podpisuję robotę za majstra. Ja już prawie trzeci rok w „Hydrotrestie”. Koledzy robią przy mnie,

ale już niedługo będą samodzielnie prowadzili brygady. Łojcis i Stys pochodzą ze wsi, mieszkają w hotelu robotniczym naszej firmy na Powązkach i chodzą teraz na kursy pierwszego stopnia.

— A wy się nie uczycie? — Ja? — Adamczyk zmieszany się. — E... kurs pierwszego stopnia to dla mnie zabawka, ja to już wszystko znam z praktyki.

— A drugiego stopnia? — E, drugiego... — młody majster zaczerwienił się.

Bo to widzicie, ja nie mam jeszcze szkoły podstawowej... Warunki takie były...

— Zrozumiałe! W czasie wojny wiecie kolegów nie mogło się uczyć... — pomaga mu student.

Blyski, nieufności w oczach Adamczyka łagodnieją. — A bo widzicie... na tym kursie są i chłopaki po gimnazjum, to się z nas czasem śmieją, bo oni lepiej umieją. Wiadomo, więcej klas, ale człowiek ambicję swoją ma! No, nie? Tom postanowił sobie, że my swój kurs zetempowski zrobimy. Organizujemy jeszcze dwie brygady a będziemy mieli wkrótce pięć, to zrobimy swoją zetempowską szkołę.

— Pewno! Macie rację! — mówi Kuczyński. — Jakże próbki gleb macie w tych stojach?

— Na tych kartach wszystko macie napisane.

Adamczyk opowiada studentowi o swej pracy z namiętym przebiegiem, ze znajomością rzeczy i głębokim zainteresowaniem, jak o czymś, co jest najciekawsze i najważniejsze na świecie.

— Będą chcieli w PIG-u zbadać zawartość tej gily? — mówi dalej, to ją rozpruła i mając niewzruszoną głębię z takiej i takiej głębokości, mogą określić jej zawartość i wytrzymałość na ucisk. W ten sposób łatwo można obliczyć jakie potrzebne są tu fundamenty.

A czy wiecie jakie mają tu staność domy? Czy interesujecie się tym? — pytał Kuczyński.

— Wiadomo! Wszystkich to obchodzi. Tu na MDM będą domy od sześciu do ośmiu pięter wysokości, a w bocznych ulicach od pięciu do sześciu. Mówią, że to będą piękne domy...

— Tak piękne. Mogę wam powiedzieć coś o tym. Zniknie tu całkowicie przypadkowe budownictwo, tak charakterystyczne dla miast kapitalistycznych, a powstanie tu w Planie Szesciolennym wspaniała wielkomiejska dzielnica, godnie reprezentująca środowisko Socjalistycznej Stolicy w Socjalistycznym Kraju.

Zaplanowana będzie z rozmachem godnym polskiej klasy robotniczej i artystycznie bogato wykończona.

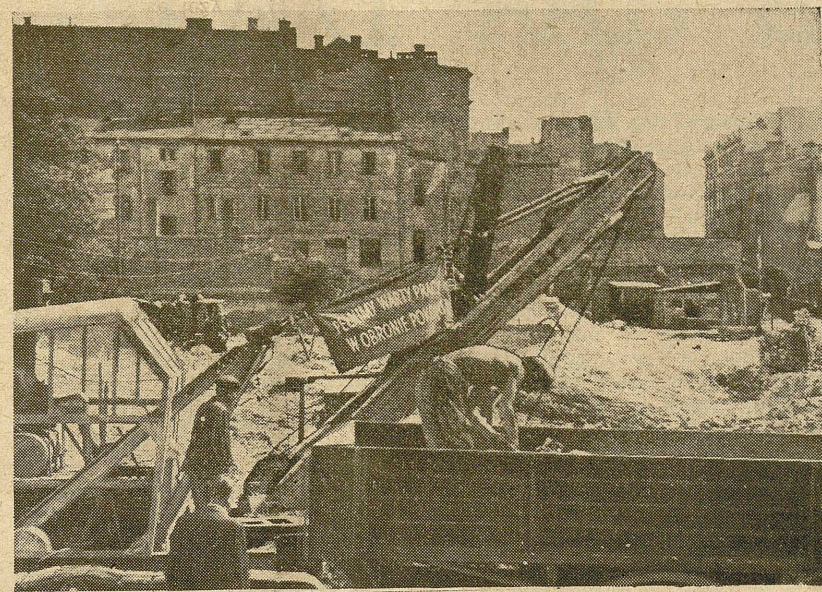
Mieszkania będą zaczynały się dopiero od drugiego piętra, parter i pierwsze piętro stanowiąceokoło gmachów — wykładane kolumnami, barwnym granitem, nie rzadko ozdabiane podcieniami, kolumnami, antresolami, będą mieścić sklepy, kawiarnie i różnorodne lokale usługowe. Dwa najwyższe piętra będą znów sta-

nowiły zwieńczenie domów, ozdobione attykami i kolumnkami, obramowaniami i wykończeniami. Motywami dekoracyjnymi domów będą rzeźby, płaskorzeźby, barwne majoliki o błyszczącej polewie, elementy kute w żelazie, jak kraty, okucia. Warszawa będzie piękna.

— Wiadomo... — mówi Adamczyk. — Wszyscy się o to staramy...

— A wyobrażacie sobie tu, kolego, dużo zieleni, drzew, kwiatników — podejmuje znów student. — A od tyłu, gdzie dawniej znajdowały się ciasne podwórza, będą wielkie zielone przestrzenie, pełne powietrza i słońca, dające radość i zdrowie dzieciom i mieszkańcom dzielnicy. Takie będzie środowisko — serce naszej Socjalistycznej Stolicy — Warszawy.

Aniela Daszewska.



Robotnicy MDM zaciągali warty pracy w obronie pokoju

..., a na Muranowie...

HALLO! Przywiozłem wam szturmówki! — zawołał Ruszczyński, przewodniczący Zarządu ZMP. Budowy Osiedla Robotniczego Muranów. Zeskoczył z roweru i mijając rozsypany gruz, podprowadził go pod tablicę z napisem: „Blok 55. Budowa potokowa. Grupa robót Nr 3. Brygady murarskie Wiecheta i Makosy.”

Jeden z młodych murarzy, pracujących na budowie, rosy, szeroki w barach, w cyklistówkę głęboko nasuniętą na jasne włosy odłożył kieliszek, zbliżył się do Ruszczyńskiego i wyciągnął rękę na powitanie.

— Szurmówko na Warty Pokoju przywieźliście... To dobrze. Dopiero dobiega dwunasta, a my już mamy zrobioną robotę ponad normę. Przypatrzcie: — Lenart i Purchała z Postkiem jako pomocą — już mają z dziesięć metrów sześciennych... Przeszło dwieście procent.

— Nili... Nie mają! — zaprzeczył ktoś energicznie. Zza filarka wysunął się szczupły, o drobnej chłopciej twarzy kolega Czesiek Wiecheta, znany młodzieżowy przewodnik, majster brygady młodzieżowej na pięćdziesięciu pięciom bloku, współzawodniczący z brygadą kolegi Makosy.

— O! Masz go! — Odzywa się konkurencja! — załotał, trochę zły kolega Zawadzka.

— No! Licz! — mówi rzeczowo Wiecheta, pochylając się nad ścianą i odliczając ręką warstwy cegieł. — Jeden, dwa, trzy... dziesięć segmentów... Nie będzie dziesięciu metrów sześciennych!

— Makosy nie ma? — spytał nagle Ruszczyński, rozglądając się po budowie.

— Nie wiecie? Przecież poszedł już na „U. K. P.” — Uniwersyteckie Kursy Przygotowawcze. Ja teraz tu majster... — śmieje się Zawadzka.

— Racja, racja... Zapomniałem! Tysiąc pięćset młodziaków na naszej budowie, samych brygad murarskich siedem... Aż się w głowie kręci. Dla ciebie, Wiecheta, też przywiozłem szurmówkę...

— Dobrze. Zaraz ją zatknijmy. Może zajrzycie do nas. U nas Świątkowski i Staszewski dzisiaj przodują. Patrzcie sami, tu ich ścianka. Już mają dwieście procent. Jedenaście metrów sześciennych jak nie! A przecież „prześrogi” byli z czterdziestu minut, bo brakowało materiału. Trzech z transportu nie może nadążyć z wożeniem wapna.

W tej chwili przenikliwy głos syreny oznajmił godzinę dwunastą. Chłopy składali statki. Przyczysławiali się, myli. Szli do stołówek na obiad.

— Nie idziesz, Czesiek, z nami?

— Nie! Dziś mam suchy prowiant. Ze Szczepanem Partką umówiłem się koło świetlicy...

Wiecheta siedział z pochyloną głową. Nie widział już nic ostatnio. On, przodownik młodzieżowy Marcinasta tu i Muranowa, delegat organizacji na Festiwal w Budapeszcie „dość po kryzysu” — jak to się mówi — na budowie. Zabawił się trochę w niedzielę za dużo i już dostał! — No, tak — myśli Czesiek, — Zeżem-powieć i przodownik musi zawsze dawać przykład...

— Coś taki zażyłony?

— To ty, Szczepan? No, jak ci się wiedzie? Referentem jesteś?

— Ano, referentem modernizacji. Z murarza na referenta... — mówi spokojnie Szczepan Partka, jeden z czołowych przodowników młodzieżowych Muranowa i Warszawy. — Racjonalizatorstwo i współzawodnictwo w opiece mam... No, a jak wy tam na budowie? Czy postępujecie się racjonalizatorskim sprzętem i usprawnieniami robotników? Czy używacie stojaków Olaka i warstwowopionów Paduchy? No, pamiętajcie! Niech tylko zobaczę nastawienie do nowatorstwa i roboty, zaraz zrobię raban na sto dwa! Przecież to oszczędność pieniędzy i czasu, to wydatność...

— Wiesz, w czym ja bym się chciał specjalizować? — przerwał mu nagle Wiecheta, przysiadając na deskach i wyciągając z zawinię-

ka chleb z kielbasą. — Ty jesteś referentem, Makosę poszedł na „UKP” a ja to chciałbym się specjalizować w białej robotce... Zapachniały mi coś tynki. Ostatnio próbowałem na naszym bloku tynkarskich maszyn radzieckich. Mówię ci, widać robotę! Zostaje za tobą biała ściana... Ciekawym, jak tu będzie na Muranowie z licówkami bez tynków... Dlaczego nie jesz, Szczepan, bierz chleb...

— Pomysł racjonalizatorski naszego majstra Bogdana, tego z czwartego potoku został podobno przyjęty przez architektów jednogłównie... — zaczął Partka, biorąc kromkę chleba. — Bogdan wynalazł sposób wykarczowania elewacji domów na Muranowie, który usuwa — jak mówił inżynier — wszelkie nsterki szybkościowej roboty, zachowuje i podnosi kompozycję budynku i pozostawia zastosowanie kolorów na ścianach zewnętrznych. Budynki będą mogły być barwione z zachowaniem charakteru ścian, budowanych z nieotynkowanych cegieł prefabrykatów.

— Widziałeś chyba te „punktowce” na Muranowie, te domki stojące osobno. Już są skończone. Teraz dopiero wychodzą obramienia okienne i ozdobne, wgłębione portale... — Dach z latarnią klatki schodowej też wypadł pierwsza klasa! Ludzie mówią, że domki jak z bajki... Wesole! Nie ma co! Bo osiedle robotnicze musi być wesole.

— Wiesz, że ja też, jak chodzę po budowie, to myślę, że wszystko się tu piorunem zmienia...

— Tak, zmienia się i teraz dopiero widać, że nierówność terenu i skarp usypianych z gruzu — jak mówi inżynier — nada specjalny charakter całości osiedla. — I jeszcze jak będą trawniki, kwiaty, drzewa, schody, schodki, tarasy, rzeźby, fontanny, kolumny, to, bracie, warto tu będzie żyć! I warto teraz robić, bracie! Szczęśliwe dzieciaki, które tu będą mieszkały.

— Nie tak jak my — przerwał młody murarz — mieliśmy, bracie, suterenną dla mieszkanie, a do zabawy

śmietnik i podwórze w czyszowej kamienicy kapitalisty...

— Tu robotnicy będą mieli i ogrody, i przedszkola, i szkoły, i żłobki, i teatry, i domy kultury. Wszystko! I jakie jeszcze! Widziałeś tę szkołę, co robia teraz na osi młodzieżowej? Wcale nie będzie miała korytarza, tylko wielki hall. A naprzeciw szkoły, na drugim końcu placu, będzie teatr „Guliwera”. Dzieciaki będą tu miały raj!

— I boisk sportowych też ma być dostatek...

— Tak. Nie tylko będą przy szkołach, domach kultury, ale w różnych częściach osiedla. Każde najmniejszej boisko, obsługujące dwa albo trzy bloki mieszkalne będzie miało swoją trybunkę i jakąś rzeźbę zwierzającą, tak, że dzieciaki będą się mogli umiwać na mecz na boisko „pod jaskurką”, „wiewiórką”, czy „sarną”, zależnie od stojącej tam rzeźby.

— A pamiętasz, jak wyglądał Muranów w zeszłym roku o tej porze? — wrócił nagle Wiecheta. — Morze gruzu! Dopiero zaczynaliśmy budować — a dziś?...

— A dziś — przerwał mu Partka. — Dziś widzi się już, że ładny będzie ten Muranów! Piękne będzie to nasze największe robotnicze osiedle stolicy. Osiedle na pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, budowane z czerwonych gruzów, jak a krwi Warszawy. Coraz wyraźniej widać, że stary nie pokpił spraw!

— Cóż znowu za stary? — Tak go tylko nazywamy. To profesor Lachert, wybitny architekt — twórca Muranowa. Jakby nie było, zwycięstwo nad gruzami Muranowa to nasze największe robotnicze osiedle stolicy. Osiedle na pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, budowane z czerwonych gruzów, jak a krwi Warszawy. Coraz wyraźniej widać, że stary nie pokpił spraw!

— Powiadam ci, nasze robotnicze osiedle Muranów będzie na sto dwa!

Aniela Daszewska



ZMP-owiec Stanisław Purchała

Decyzja generała Groves'a brzmi: odmówić. Odpowiedź Ireny Joliot Curie:

— Sztuczne izotopy radioaktywne to nasz wynalazek. Fryderyk Joliot i ja otrzymaliśmy zań w 1935 roku nagrodę Nobla. Zabraliście nam nasz wynalazek i nie chcecie go oddać z powrotem. Jak to się nazywa? Kradzież? Gorzej. To jest obraz życia amerykańskiego.

Fryderyk Joliot patrzy na żonę ze spokojem.

— Nie chcą nam dać radioaktywnych izotopów. Bardzo dobrze. Stworzymy je sami! Damy Francji radioaktywne izotopy, damy jej energię atomową...

Naczelny komisariat do spraw badań atomowych wzmagają tempo pracy. Naczelny komisarzem jest Fryderyk Joliot-Curie. Na terenie fortu Chatillon (zewnętrzny obwód Paryża) powstaje centrum eksperymentalne energii atomowej. Prace budowlane postępują w dzień i w nocy. Setki inżynierów i fizyków, studentów przed dyplomem ofiarują swoje usługi bezinteresownie.

Rok 1946. W rezydencji Narodów Zjednoczonych pod New Yorkiem obraduje komisja kontroli do spraw energii atomowej. W sesji tej biorą udział specjaliści nauki pięciu krajów. Z kąta pokoju napychy, pomarszczony jak stary grzyb Bernard Baruch śliniąc niedopałek cygara z podobną śledzi tok obrad. Wybrawszy odpowiedni moment podchodzi do Joliot.

— Niech pan posłucha, mój kochany! Słyszałem, że zamierzacie we Francji budować kocioł atomowy. Czy to prawda?

— Oczywiście, prawda. Jedno tylko należy sprostować. Kocioł był obliczony i zaprojektowany przeze mnie latem 1939 roku. Budowa została wstrzymana przez wojnę...

— Rzućcie te czcze wymsy! — Baruch rozwala się na fotelu. Wszak Francja już kona. Wszak przemysł jest załedwie zdolny produkować gliniene garnki. Lepiej niech pan się zająć czymś konkretnym. Chodzi mi o Pana osobiście, panie

Joliot! Niech pan przyjeżdża do nas, do Stanów. Gwarantuję panu milion dolarów na wszelkie doświadczenia. Milion, nie licząc honorarium i różnych innych rzeczy. Co pan na to, no?

Fryderyk Joliot odpowiada z niezmiennym spokojem, nawet wesole. Jestem niezmiennie zobowiązany, monsieur Baruch! Ale interes nie dotrą do skutku. Zbyt późno na stare lata zmieniać domowe ognisko. Co się zaś tyczy francuskiego kocioła atomowego to będzie on gotów... Mamy teraz 1946 rok? Kocioł będzie gotowy w końcu 1948 roku!...

15 grudnia 1948 roku o godzinie 12 minut 12 port Chatillon zameldował o rozpoczęciu reakcji łańcuchowej.

„Pokoju! Walczcie o pokój! Nie pozwólcie się omotać oszustwem rzekomej neutralności i różowego pacyfizmu. Zwracam się przede wszystkim do Was, ludzie nauki, moi współbracia w zawoździe. Czy rozumiecie, że każdy eksperyment, każda teoria, każde doświadczenie laboratoryjne w obecnych warunkach waży się nie tylko na szalach nauki ale przede wszystkim na szalach życia i śmierci milionów ludzi. Trwały pokój albo barbarzyńska wojna — nie ma trzeciego wyjścia...”

W sali Pleyela grzmiały owacje. Wszyscy, którzy nie dostali się do Paryża zebrał się w Pradze. Krag przyjaciół i towarzyszy walki. Joliot rośnie coraz bardziej. Dzisiaj jest ich osiemset milionów. Delegaci Obrótców Pokoju z trzech kontynentów zebrani na Pierwszy Kongres wybierają na przewodniczącego Fryderyka Joliot. Obok niego zasiadają najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury: Bernal, Fadijew, Adamar, Neruda, Erenburg, Picasso...

Paryż, Rzym, Indie, Sztokholm. Kwiecień 1949 — marzec 1950. Te

ABY NAUKA SŁUŻYŁA POKOJOWI I WOLNOŚCI

(dokończenie ze str. 1)

jedenastu miesięcy można porównać tylko do czterech lat Oporu. Szesćdziesiąt tysięcy ludzi ramię przy ramieniu słucha przemówienia przewodniczącego Obrótców Pokoju pod palącymi promieniami słońca w Bombaju. Mówi o wspaniałych możliwościach nauki, nauki ściśniętej dziś w kleszczach przez następstwo tych, którzy

wtręcałi do więzienia Paula Langevina, tych, którzy zgnęli się nad Piotrem i Marią Curie. „Maszyna, która powinna wyzwolić robotników od ciężkiej pracy, przekształcała się w źródło bezrobocia...” „Większa część ludzkości ciągle jeszcze głoduje, albo żyje w strachu przed głodem...” „Środkami wyrzucanymi przez podżegaczy wojennych na budowę jednego tylko krążownika można by wyposażyć dziesięć instytutów do walki z gruźlicą i rakiem i utrzymać personel tych instytutów w ciągu całego wieku...” „Gdzie jest wyjście z tego ślepego zaułka?” Wyjście wskazywał narody Związku Radzieckiego, Chin, krajów demokracji ludowej. To wyjście — to walka o przekształcenie przyrody, walka ludzi wolnych od wyzysku człowieka przez człowieka... „Wystarczyłby jeden wagon rudy uranu na rok, aby podwoić produkcję energii elektrycznej we Francji! Z drugiej strony zmieniając w elektryczność albo przekształcając chemicznie energię światła słonecznego, które tak hojnie oświeca na przykład Wasz kraj, można by było udeszczokrotnie produkcję dóbr życiowych na Ziemi...”

Pauza i jeden ruch szesćdziesięciu tysięcy śniadych opalonych słońcem głów. Oczy odwracają się ku zapadającemu za horyzont słońcu.

„Ale te wspaniałe możliwości nauki mogą się stać rzeczywistością tylko wówczas, gdy między narodami zapanuje pokój!”

Zakołysało się jak od wichru szesćdziesiąt tysięcy śniadych rąk i głów.

— Pokój, pokój!

Inne, skąpo udzielające swoich promieni, północne słońce. Senne miasto drzemiące na brzegu zimnego jeziora.

„Tutaj w tym samym mieście przemawiałem z okazji przyznania mi nagrody Nobla... Tutaj, w Sztokholmie, mówiłem o jednym z odkryć kryjących w sobie zarodek wielkich technicznych przełomów. Idąc po drodze, która mi wskazała moi nauczyciele wielcy uczeni Francji uprzedzałem wówczas o poważnym niebezpieczeństwie utajonym w tych doświadczeniach... Było to w 1935 roku. Od tej pory minęło 15 lat. Czyż mogłem wiedzieć, że znów przyjdzie mi przemawiać tutaj w czasie, gdy za ledwie przeciętną wówczas groźbą przybrała dziś realne kształty!”

„Tak, groźba nam potworną rzeźbi w imię interesów grupki ludzi, którzy uczepili się zagrabionych przez nich worków ze złotem.”

„Groźba nam bomba wodorowa.” „Bomba wodorowa jest teoretycznie możliwa, ale jeszcze nie wyprodukowana i nie wiadomo, kiedy będzie wyprodukowana. Jeżeli ta bomba będzie stworzona w Stanach Zjednoczonych, to i w innych krajach mogą ją wyprodukować. W tym wypadku nie może istnieć takie techniczne pierwszeństwo, jakie istniało w odniesieniu do bomby atomowej.”

„Ale wyzwanie zostało ludzkości

rzucione i na to wyzwanie powinna paść bezwzględna odpowiedź.”

Cisza zapada na sali zapelnionej gośćmi i delegatami trzeciej sesji Stałego Komitetu Obrótców Pokoju.

„Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, jak powinna brzmieć ta odpowiedź. I niech zapamiętają datę tej odpowiedzi — marzec 1950 roku.”

„Będziemy uważali za zbrodniarza wojennego każdy rząd, który pierwszy użyje broni atomowej przeciwko jakimkolwiek krajom.”

...

Jak przyjemnie z dusznego podziemia wyjść na świeże wiosenne powietrze. Schody metro wynoszą na wierzch potoki ludzi. Maleńkie czyste zamknięte uliczki jednego z przedmieść wchodzącego w „czerny pierścień” Paryża. Jasny budnyk merostwa. Gości wita mer, schludnie ubrany, jeszcze nie stary robotnik paryski. Ścisną rękę każdego wchodzącego. A dzisiaj jest ich więcej niż tysiąc. Paryż proletariacki, Paryż nauki i kultury przysłał tu swoich przedstawicieli z okazji dnia urodzin jednego z najszlachetniejszych swoich synów.

„Nasz Fryderyk skończył pięćdziesiątkę.” „No, no, pięćdziesiąt.” Ale nikt nie myśli o starości w ten ciepły wiosenny wieczór. Stukają o siebie kielichy napelnione ciepłym, chłodnym winem. „Pięć za twoją młodość, Fryderyku Joliot. Za młodość Francji, za młodość ludzkości.” Profesor filozofii siada. Po nim wstaje kamieniarz. „My, wiemy, Fryderyku, że jesteś bielmem na oku amerykańskich podżegaczy atomowych. Kłapiąc wściekłością panowie z oceanem chcą się zemścić na naszym kraju. Chcą ci zmusić, abyś ustąpił ze stanowiska naczelnego komisarza. No cóż, to jeszcze leży w ich możliwościach. Ale łatwiej odsunąć amerykańskich podżegaczy wojennych od nauki francuskiej aniżeli nasze go Fryderyka od narodu!”

Wiele przemówień, już późno.

„Czas udzielić głosu Fryderykowi. — „Prosimy, Fryderyku!” Irena zachęcająco spogląda na męża. „No cóż, Fryderyku!”

„Bardzo chętnie.”

Promień światła oświeca szczupłą, portą cienkimi zmarszczkami a pomimo wszystko młodą twarz. — Przyszan się wam, przyjaciele, przeżywałem pokusę aby zamknąć się w swoim laboratorium, ale wówczas zadałem sobie pytanie: „a kto będzie korzystał z wynalazków, których ja dokonam?” I zrozumiałem, że po to, abym mógł spokojnie siedzieć w swoim laboratorium, powinienem walczyć — walczyć w szeregach tych, którzy pragną, aby nauka służyła pokojowi i wolności a nie interesom handlarzy śmierci, nie wojnie grabieżczej... I dopiero wówczas, gdy zapanuje trwały pokój, my, uczeni, będziemy mogli uzyskać pokój ducha, siedzieć po całych dniach w swoich laboratoriach. I jakie szczęśliwe wieści przyniesiemy wówczas ludzkości...”

Ciepły wiosenny wieczór zagląda do okien merostwa...

28 kwietnia amerykańscy gauliterzy w Paryżu usunęli ze stanowiska naczelnego komisarza do spraw energii atomowej dumę francuskiej nauki, bojującą o pokój i demokrację, Fryderyka Joliot-Curie.

Podła i brudna gra! Kamieniarz z robotniczego przedmieścia paryskiego miał słusność... Nie można odsunąć sławnego syna narodu od narodu, który go wychował i wykarmił. Ale można odsunąć pigmionów, którzy podnieśli rękę na sumienie i cześć narodu.

Historia wstała jeszcze w tej s. w. wie swój wyrok.

Włodzimierz Lwów

ZOFIA SIKORSKA

DEBIUTY LITERACKIE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

„Cenną właściwością naszej literatury, rejonu jej dalszego rozwoju jest stały przypływ nowych sił pisarskich. Co roku na łamach centralnych i prowincjonalnych czasopism pojawia się szereg utworów młodej literatury, przynoszących nowe tematy i obrazy.

Literatura radziecka, silna dzięki przestrzeganiu znakomitych tradycji Gorkiego, z powagą ustosunkowuje się do problemu nowych kadr pisarskich. Pierwsza książka! Ile w tych słowach jest dumy i nadziei młodego pisarza.

Odpowiedzialna jest rola redaktora, który podpisuje do druku książkę debiutanta, i wydawnictwa, które ją wydają. Troskliwie chronią indywidualność autora, redaktor winien pomóc mu poprawić braki, podkreślić to, co cenne w jego książce.

Przyjacielska pomoc, krytyka twórcza i nie obniżająca wartości pracy pisarza — to rękojmią szybkiego dojrzewania młodych autorów.

Powyższa nota redakcyjna otwiera kolumnę znanego pisma radzieckiego „Gazety Literackiej”, poświęconego kilku ostatnim debiutom młodych pisarzy. Słowa te charakteryzują stosunek literatury Związku Radzieckiego do młodych pisarzy. Nie głosownie wspomniano tu o tradycjach Gorkiego. Genialny samouk, który wypracował swój warsztat pisarski i osiągnął pozycję literacką w ciągu lat nędzy, poniewierki, prześladowań policyjnych i mozolnego przewidywania niezliczonych zapor, jakim system kapitalistyczny obwarował zmonopolizowane przez siebie dobra kulturalne, stał się najlepszym przewodnikiem nowych kadr pisarzy młodego państwa radzieckiego.

Gorki w burzliwych latach potężnych przemian, gigantycznego zrywu mas ludowych, dźwigających Państwo Rad i tworzących jego proletariacką kulturę, był hasłem i wzorem wielkiego awansu kulturalnego, jaki zaczynał się dokonywać na ogromnych obszarach Związku — ale jest nim także i dziś dla milionów młodych ludzi, wychowywanych w normalnej szkole, dla systematycznie i planowo szkolonych kadr literackich.

„Poezja pedagogiczna” Makarenki ukazuje, w jaki sposób, w pierwszych porowolucyjnych latach, książki i duchowy patronat Gorkiego na kolonii dla nieletnich przestępców pomagały dzieciom, ofiarom zdrutyzowanego systemu, ofiarom lat wojny i interwencji budować swoje nowe, socjalistyczne obywatelstwo. Ale patronat Gorkiego przyswieszcza i dziś milionom najsłabszej młodzieży świata, której wzrost i rozwój otoczone są najtroskliwszą opieką, której rekrutacja do zaszczytnych szeregów radzieckich pisarzy napotykała w wszelkie ułatwienia i braterską opiekę ze strony starszych kolegów.

I na tym właśnie polega „tradycja Gorkiego”, który był najlepszym przyjacielem młodych pisarzy, ich troskliwością, choć surowym i wymagającym nauczycielem. Gorki strzegł debiutantów przed załamaniem się, przed utratą wiary w siebie — ale nade wszystko przed łatwizną, przed tanią deklaracyjnością, przed brakiem dyscypliny umysłowej i artystycznej, przed niedbalstwem formalnym. Wskazywał konieczność przyswojenia sobie wielkich tradycji postępowej literatury świata i budowania wiedzy o nowej rzeczywistości socjalistycznej. Pomał, radził, tłumaczył — ale i bezlitośnie odsłaniał błędy, uczył znoszenia słusznej krytyki i wyciągania z niej twórczych wniosków, wykorzeniał pozbliżności wobec własnych błędów.

Te tradycje podjęła radziecka krytyka literacka, która w pełni zdaje sobie sprawę z poważnej odpowiedzialności za ocenę książek debiutantów i za słusność oraz dydaktyczne walory krytyki.

Dlatego warto przyrzeć się zamieszczonych przez „Gazety Literackiej” kolumnie recenzji z najnowszych debiutów literackich.

Omówionych pięć książek młodych pisarzy to cztery powieści i tomik wierszy. Wśród powieści, dwie nawiązują do problemów i wydarzeń Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, dwie zaś dotyczą współczesnych problemów — budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim. Wszystkie omówienia pobra doświadczeni krytycy i starszych pisarzy, z całą troskliwością i szacunkiem wobec pracy młodego pisarza, biorą na warsztat jego książkę, starają się wnikać w jego intencje, odtworzyć świat jego doświadczeń, jego wiedzy o rzeczywistości, bez uprzedzenia i złośliwości poszukują źródeł błędów debiutantów — bynajmniej jednak nie obwiązują w bawelne ostre niekiedy zarzutów i formułują żądanie poprawienia niedociągnięć w dalszej praktyce literackiej autorów.

Najpoważniejszym debiutem wśród omówionych pięciu pozycji literackich jest niewątpliwie powieść Ilii Kotienko pt. „Kołchoźnicy”. Książka ta podejmuje kapitalny problem nowych planów i możliwości dalszego potężnego przeobrażenia wsi radzieckiej, dalszej mechanizacji i racjonalizacji pracy rolniczej, wreszcie zniesienia ostatnich barier między miastem a wsią poprzez plany stworzenia tzw. „agro-miast”. Wier radziecka od dawna już wciągnięta została w orbitę twórczego życia kraju, od dawna już straciła właściwy zaofanęj wsi społeczeństwa kapitalistycznego charakter, „zabitego deskami zakątkiem”. Nowy plan, który na miejscu dawnych chutorów wzniesie osiedle młodego typu w sposób istoty kształtuje świadomość kołchoźników, niszczy przeżytki dawnego typu „cho-

pa”, zasila wieś kadrami nowej inteligencji radzieckiej, która tworzy tu ośrodki pracy i badań naukowych, zarówno twórczo oddziaływując na otoczenie, jak i kształtując się i korzystając wiele w bezustannym kontak-



Z filmu radzieckiego p.t. „Upadek Berlina”

cie z życiem narodu i jego podstawowymi problemami.

Powieść o kołchozie „Nowa Zorza” przynosi, jak podkreśla z naciskiem autor recenzji, I. Riabow, zróżnicowane i plastyczne postacie rutyniarzy, tradycjonalistów i walczących z nimi „ludzi o bolszewickim rozmachu”, dawnych „chłopów” i nowych pracowników kołchozu oraz inteligentów.

Jednak recenzja starannie tropi wszystkie przejawy schematyzmu. Wskazuje młodym pisarzom drogi wyzbycia się zależności od konwencjonalnych wzorów literackich i niebezpieczeństwo chwytania gotowych typów (w tym wypadku z książki Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy”) zamiast pójścia drogą pogłębionej obserwacji rzeczywistości radzieckiej. Ostrzega też młodego pisarza przed schematyzmem, niedalekocieżnym traktowaniem „czarnych charakterów” w powieści. Recenzent podkreśla, że w dalszych częściach swego dzieła autor winien wskazać im drogę zrozumienia i naprawienia swych błędów, gdyż nie przechodzą oni świadomie na stronę wroga, a tylko nie nadają się do rozwoju radzieckiego życia, nie dość czujnie walczą ze starymi nawykami myślowymi i oporami ideologicznymi, co spycha ich na pozycje rutyniarzy a nawet szkodników. Rękojmią uratowania z błędnych i skierowania ich na drogę poprawy.

„Bardzo dobrze, że ukazał się utwór młodego pisarza, posiadający wiele zalet: dobrą znajomość życia, wyczuwanie nowego, tajemniczość i rozumienie przodujących ludzi współczesnych — ludzi bolszewickiego rozmachu. Powieść Ilii Kotienko pt. „Kołchoźnicy” ucieszy wielu czytelników. Będziemy oczekiwać dalszego ciągu opowiadania o działaczach partii na terenie wiejskim, o nowych rolnikach, o nowej wsi i jej radosnych perspektywach” — konkluduje I. Riabow.

Interesujący problem stawia recenzja Wadima Łukaszczyka pt. „Ruralizacja naczynego świadka z artystą”, poświęcona powieści I. Frolowa pt. „Szlak — Opowiadania geologa”.

Autor podjął tu ciekawy temat pracy geologów radzieckich, którzy podejmują wędrówkę po Kazachstanie w poszukiwaniu nieodkrytych dotąd bogactw mineralnych. Zbiór nowel ukazuje różne fragmenty tej wyprawy, rysuje kolektyw i jego współzycie, mówi o wytrwałości i poświęceniu uczonych, wydzierających tajemnice przyrodzie, by służyły człowiekowi i jego lepszej przyszłości. Głęboka znajomość opisywanych zagadnień i stosunków, urok pięknych i świeżych opisów Kazachstanu, poezja legend i baśni Kazachów, które nieraz służą za przewodników badaniom uczonych (jak w opowiadaniu „Srebrna skała”, gdzie legenda prowadzi geologów do złóż rud ołowianej), wreszcie niewątpliwie talent narratorski pisarza, umiejętność tworzenia plastycznych postaci ludzkich i doskonała indywidualizacja języka — wszystko to każe optymistycznie oceniać talent i możliwości artystyczne Frolowa. „Wiele obiecuje ta pierwsza książka, ale jednocześnie nakłada tym większe zobowiązania na autora: oczekuje go uporczywa, ciężka praca, aby, mówiąc językiem geologów, „otrzymać czysty szlicht”, odrzucić wszystko, co niepotrzebne, przypadkowe, a dojść do wielkich uogólnień” — pisze recenzent, Wadim Łukaszczyk.

Książka zdradza bowiem pewną niedojrzałość pisarza właśnie w zakresie umiejętności uogólnienia, typizacji materiału obserwacyjnego, następnie w zakresie jego selekcji i usunięcia balastu drobnych, chaotycznych obserwacji. Na tym właśnie polega, zdaniem krytyki, charakterystyczna dla wielu młodych pisarzy „ruralizacja naczynego świadka z artystą”. Niedoświadczony debiutant nie zawsze umie zdobyć się na rezygnację z wielu wabących go swym bogactwem i świeżością, ale nietypowych i nieistotnych obserwacji bujnego życia. Stąd u Frolowa duży, wady konstrukcyjne, stąd ośmieszający urokiem egzotyki Kazachstanu, który powoduje nadmiar opisów, aż do opierania wielu opowiadań temu na artystowskim problemie rodzajowego obrazu.

Niewątpliwie talent debiutanta więc jeszcze surowej dyscypliny artystycznej. Krytyka radziecka stara się mu to wyraźnie uświadomić.

„Ludzie naszego pułku” — jest to pierwszy udany utwór jednego z

przedstawicieli młodego pokolenia armeńskich prozaików, wchodzących dziś do literatury” — stwierdza D. Demircan, recenzent pierwszej książki Siero Chanzadiana. Tym większą wagę ma krytyczna ocena w „Gazecie Lite-



Z filmu radzieckiego p.t. „Upadek Berlina”

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tykroć już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czołowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiej współpracy w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcie i bohaterstwa chwile ataków czy zaciekłej obrony ludzkiego pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania posiłków.

Te chwile ukazują

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta,

FAKTY I ZDANIA

Jan Myśliwiec

Zobowiązanie pokojowe

Pewna część powiatu radzyńskiego może nosić nazwę „warszawskiego Polesia”. Na tych podmokłych i bezdrożnych terenach rozsiadły się cztery wsie: Duczki, Nowe Grabie, Nowe Lipiny i Lipiny gm. Ręczaje. 20 km na wschód jest Warszawa. W nocy luna światła stolicy widnieje jak zorza nowych czasów.

Chłopi tych wsi to przeważnie biedniacy. W jaki sposób chłopi radzyńscy włączają się w ogólnopolski plan gospodarczy? Z jakim dorobkiem stają chłopi na progu Planu 6-letniego? Oto bilans osiągnięć za ostatni okres:

- 1) Zebrano na przyszłe inwestycje gromadzkich 150 tys. zł. składki.
- 2) Zakupiono dwa wagony wapna i budulca.
- 3) Wybudowano obiekty gospodarcze na placu szkolnym kosztem 75 robocizniów darmowych.
- 4) Splantowano 2 ha placu pod szkołę kosztem 300 robocizniów konych i pieszych.
- 5) Uruchomiono bezpłatny punkt leczniczo-opatrunkowy rejestrując w ciągu kilkunastu dni istnienia tego punktu 79 udzielonych porad i opatrunków.

Chłopi „warszawskiego Polesia” rozumieją, że nazwa ta — „Polesie” — na oznaczenie obszarów nie nadających się do gospodarki — jest przeżytkiem i cechuje minioną epokę gospodarczą. Dziś inaczej podchodzi się do tych zagadnień. Wbrew niektórym wrogom klasowym, chłopi już przez dotychczasową pracę wykazali swe polityczne oblicze. Żeby zaś zadokumentować jeszcze mocniej swoją postawę, — chłopi jako wkład swój w walkę o pokój zobowiązują się:

- 1) Pobudować w Duczkach szkołę-pomnik im. Juliana Marchlewskiego.
- 2) Zniwelować górzysty teren pod szkołę oraz naprawić drogę łączącą wieś Duczki ze stacją kolejową Zagórcie, na przestrzeni około 800 metrów.
- 3) Opatkować wszystkie gospodarstwa oraz pracowników na 2000 — 4000 jednorazowo lub terenie 4 wiosek kwotą zł ratalnie na budowę szkoły, przy czym, wobec współzawodnictwa wsi Nowe Grabie, która zaofiarowała na ten cel wyższą kwotę — stawka opodatkowania dobrowolnego dla tej wsi została podwyższona do zł 3 — 5.000.
- 4) Zobowiązać wszystkich mieszkańców wsi do bezpłatnej pracy przy budowie szkoły po jednej robocizniówce.
- 5) Dostarczyć bezpłatnie na plac szkolny z własnych zapasów po jednej furze żwiru i kamienia.
- 6) Wybudować obiekt gospodarczy na placu szkolnym oraz zradiofonizować wieś.

Leonard Trzaskowski

Więcej troski o książkę!

Najbliższą bazą zaopatrzenia wsi w artykuły różnego rodzaju stały się dziś sklepy gminnych spółdzielni. S. Ch. Dzięki ich uniwersalności chłop Polski Ludowej nie potrzebuje gnać do oddalonych miast, tylko zaopatrzyć się we wszystko na miejscu, nawet w potrzebne mu książki. Że książki w sklepach gminnych i spółdzielniach jest konieczna, świadczą o tym szybkie wyprzedaże niektórych dzieł, a zwłaszcza z dziedziny rolnictwa, wychowania ideologicznego oraz literatury pięknej.

Zanim jednak książki znajdzie swego nabywcę, musi wypełnić z nud miejsc na półkach sklepowych. I tu okazuje się, że miejsce to nie zawsze jest właściwie doceniane i obmyślane, tak że strony praktycznej jak i estetycznej. Personel sklepowy jak i zarząd spółdzielni często zapomina, że książka jako rzecz piękna musi pięknym być otoczona, aby jak najprędzej znalazła swego nabywcę. Jeśli książka długo leży na półce sklepowej, to po dużej części z winy niewłaściwego miejsca. Wsunięta między półki towarów spożywczych czy żelaznych musi nie raz czekać na prawdziwego miłośnika, ażeby ją odnalazł i wyróżnił z całego otoczenia.

Często zapomina się, że jeśli stać nas na gablotkę artykułów monopolu tytoniowego czy spirytusowego, to także powinniśmy się zdobyć na estetycznie urządzone kąci dla książek.

A oto jak nieraz taki kącik książki wygląda w sklepach gminnej spółdzielni. Przytoczę tu obrazek ze sklepu gminnej spółdzielni w Dobrym Mieście pow. Lidzbarski-War., gdzie

7) Urządzić sale tańca na świetlicy powiatowej dla dostarczenia ludności pożytecznej rozrywki. Dopełnieniem całości zobowiązań naszych wsi są drobne zobowiązania miejscowego Koła Ligi Kobiet w sprawie przeprowadzenia generalnych porządków w domach wiejskich wraz z wybieleniem wnętrz.

Władysław Rogala

„Upolityczniłem” się

Swojego czasu wysłałem list do redakcji, w którym wyrażałem nadzieję, że redakcja dopomoże mi rozwiązać przedwójne jeszcze marzenia o szkole. Przed wojną bowiem najwyżej mogłem marzyć o tym, abym mógł otrzymać dobrą służbę u bogatego chłopca. Pisząc ten list wydawało mi się, że nie łatwiejszego jak zaapelować do jakiejś instytucji, a ta natychmiast pomoże mi „wyrwać się ze wsi”. Podkreślałem to zdanie — „wyrwać się ze wsi”. Ono bowiem charakteryzuje mnie politycznie, jak słusznie stwierdza odpowiedź redakcji na mój list.

Więcej jeszcze niż list redakcji pomógł mi w zrozumieniu mojego błądu nadesłane broszury przedwojennego podobenstwa do mojego listu. Ja także miałem dzieciństwo podobne do Kalugi („S. Kaluga staje do współzawodnictwa”), taki sam ciężki los, pełne gorczy i upodlenia lata. Kiedy przeczytałem, że Kaluga napisał list do „Chłopskiej Drogi” z prośbą o umożliwienie mu nauki i list ten odniósł skutek, widziałem w tym początkowo potwierdzenie mojej drogi. Nie obawiałem się wtedy odpowiedzi redakcji „Wsi”. Mówiłem sobie — oto Kaluga chce się uczyć, stać się pełnowartościowym człowiekiem, dlatego ta droga ma być przede mną zamknięta. Przeczytałem jeszcze raz list ze „Wsi”, a potem broszurę. I wtedy dopiero zrozumiałem, że jednak inna była droga Kalugi do szkoły, a inna moja.

Przed wszystkim uderzył mnie sposób, w jaki chciałem — rozstrzygnąć swój los. Zapytałem się, czym ten sposób różnił się od przedwojennych ścieżek, którymi nie liczyli chłopi i robotnicy wychodzący ze wsi. Ano jakieś mecenasostwo, szczęśliwy los, przypadek. Mogłem natrafić na redakcję, mogłem nie natrafić. Zachowując taką postawę wobec gromady jak dotychczas, obojętną, ośobnioną, nie pracując n.g.d.z.e. społecznie, jak mogłem liczyć na pomoc organizacji społecznych i politycznych. Zrozumiałem, że gromada ma prawo wybierać i selekcjonować ludzi. Zrozumiałem, dlaczego ze wsi mojej wyszło na studia już przeszło 30 młodych uczniów, a ja — mimo moich zdolności, którymi się chwaliłem — pozostałem. Ten wybór ludzi nie odbywa się przypadkowo, jest wyrazem polityki klasowej na wsi,

celu poprawienia warunków sanitarnych ludności, oraz propagandy na rzecz sadownictwa drzew i krzewów owocowych we wszystkich ogródkach.

Rywalizacja tych zamierzeń umożliwił pokój — w to my chłopi radzyńscy wierzymy.

Jan Myśliwiec

gromada musi być czujna. Nie ma dzisiaj już jakiegos protektorstwa, szkoła jest również pewnym etapem, do którego dochodzi się po doświadczeniach w pracy społecznej, dostarcza nowych pracowników, kształci nowe kadry, które budują socjalizm na wsi i w mieście.

Po takich rozważaniach zgłosiłem się do sekretarza organizacji partyjnej i opowiedziałem mu o moich wahanach i dotychczasowych rozczarowaniach. Sekretarz nie dziwił się, wysłuchał mnie i powiedział, że da się temu wszystkiemu zaradzić. Muszę jednak dowieść pracę, że zasługuję na szkołę. Nauka bowiem i praca są nierozdzielnie związane, uczy się po to, aby lepiej sprawniej, dokładniej wykonywać swój zawód.

Ustaliśmy, że zapiszę się do szkoły melioracyjnej. W ten sposób zamykam, jak Kaluga, pewien okres w moim życiu. Teraz zacząć pracować społecznie i następne moje listy będą już inne. Będę meldował o postępach mojej pracy.

Władysław Rogala

Z wystawy rumuńskiej karykatury politycznej



Rząd w Bonn



Fakir

Iarian Wróblewski

Drobnotowarowa gospodarka chłopska a szkoła

Dla nas, nauczycieli ludowych niezmierznie ważnym problemem jest wpływ drobnotowarowej gospodarki chłopskiej na postępy w nauce dzieci mało i średniorolnych chłopów. Szczególnie problem ten jest wyraźny na poziomie szkoły podstawowej.

Praca dziecka w szkole podstawowej składa się z dwóch elementów: nauki w szkole i pracy samodzielnej ucznia w domu.

W czasie godzin lekcyjnych młodzież szkolna uzyskuje wiadomości przy pomocy nauczyciela i przyswaja je z pomocą innych czynników, jakimi dysponuje szkoła (pomoc naukowe). W domu samodzielna praca ucznia nad opanowaniem ćwiczeń i zadań wskazanych przez nauczyciela ma na celu utrwalenie wiadomości zdobytych w szkole.

Element pierwszy jest rozwiązany przez Państwo Ludowe, które zakłada i buduje szkoły, podnosi stopień organizacyjny już istniejących w celu dostarczenia młodzieży chłopskiej możliwości uzyskania odpowiedniego wykształcenia na terenie rodzinnej wsi. Drugi element pracy ucznia w domu nie został jeszcze przez państwo ujęty i dlatego pozostawia tak w mojej jak i innych wsiach wiele do życzenia. Jedyną możliwością zmiany na lepsze może nastąpić przy przejściu na gospodarkę spółdzielczą.

Dziecko chłopskie w gospodarstwie mało i średniorolnym, już od czterech lat życia jest siłą roboczą całego gospodarstwa. Wracając ze szkoły uczeń staje do pasionki, rabania drzew, noszenia wody, bawienia młodszego rodzeństwa, prania,

miocenia, a często oprania u boku starszych lub zupełnie samodzielnie. Taki rodzaj zatrudnienia nie sprzyja rozwojowi fizycznemu i umysłowemu naszych uczniów. Mając to na uwadze, na częstych zebraniach Komitetu Rodzicielskiego debatujemy nad zmianą istniejącego stanu rzeczy. Widzimy bowiem, że dzieci przychodzą wyczerpane pracą fizyczną, „spiące”. Efekt pracy przemęczonego dziecka, jest nie wspólnym, w stosunku do nakładów państwa i wysiłku nauczyciela. Tylko wybitne zdolności i imponująca siła dziecka chłopskiego, w wielu wypadkach pozwala utrzymać mu się na poziomie. Jednak gdy weźmiemy pod uwagę zdolności przeciętne, spostrzegamy, że mimo wysiłków dziecka i pracy usilnej nauczyciela, starań Komitetu Rodzicielskiego wyniki są zaledwie dostateczne. Dzieci nie zdolne, a takich jest także pewien procent nie są w stanie sprostać wymagom szkoły. Bardzo często książki i zeszyty szkolne u pinnej dziatwy są wyjmowane z teczek dopiero późnym wieczorem, gdy cała rodzina gromadzi się przy jednym stole. W atmosferze kłótni rodzinnych przy małej lampce, trudno spodziewać się dobrych wyników pracy, nawet u pilnych uczniów. U mniej pilnych uczniów, przemęczonych pracą fizyczną, książki i zeszyty brane są wtedy do ręki, gdy nadchodzi godzina wyjścia do szkoły. Niejednokrotnie dziecko pragnące wywiązać się jak należy z obowiązków szkolnych przeżywa w domu prawdziwą tragedię. Z jednej strony przymus ekonomiczny, konieczność ciężkiej pracy — z drugiej obowiązki wobec szkoły. Szkoła wraz z Komitetem Rodzicielskim radaby pomóc dziecku w tym celu, w tym celu buduje się w wiosce wielką i piękną szkołę murywaną. W niej znajduje każde dziecko miejsce na odrębienie lekcji. Obecny stan rzeczy nie pozwala na to, gdyż posiadamy tylko cztery szkolne sale (każda oddzielnie) dla siedmiu klas, pięciu nauczycieli. Zmuszeni jesteśmy do nauki na zmiany, co trwa w niektóre dni do godz. 16-tej. Biorąc pod uwagę odległość od szkoły do domu

dzieci, stan naszych dróg, brak oświetlenia na ulicy co szczególnie zimą ma znaczenie, musimy rezygnować ze wspólnego odrabiania lekcji przy pomocy nauczycieli. Możliwe to jest tylko dla niektórych uczniów. Reszcie dzieci staramy się wyjednywać u rodziców względy nieobciążania zbytniego pracą, stwarzania im możliwości odrabiania w ciszy i spokoju zadanych do domu prac. Jeśli weźmiemy pod uwagę stan z przed sześciu lat, stwierdzamy posępny. Najlepszym sprawdzianem niski i stale malejący procent pozostających na drugi rok uczniów, wzrost dobrych i bardzo dobrych ocen. Szczególnym sukcesem kierownictwa szkoły i Komitetu Rodzicielskiego jest podciągnięcie w nauce dzieci z gromady Cukrówka, należącej do tutejszego obwodu szkolnego. Przed sześciu laty do wyjątków należały dzieci z tej wioski, kończące szkołę podstawową. Obecnie dziatwa tej gromady kończy pełną szkołę (za małymi wyjątkami) nie przestaje na jej ukończeniu, kształci się w różnych szkołach średnich.

Całkowite jednak rozwiązanie problemu dalszego kształcenia się dziecka chłopskiego ujrzymy po upowszechnieniu gospodarki spółdzielczej. Zniknie wtedy zależność dziecka od drobnotowarowej gospodarki. Kandydaci na pastuchów znajdują się w żłobkach, dziecięcach, przedszkolach, spędzając tam szczęśliwe dzieciństwo.

Wprowadzenia rolnej gospodarki spółdzielczej w naszej wiosce należy spodziewać się w najbliższych miesiącach.

Wtedy wykończą budującą się od pięciu już lat szkoły na mej wsi, również nastąpi szybkiej. Wtedy znajdziemy możliwości jak najduższego oddziaływania na wychowanie i kształcenie przyszłych obywateli ustroju socjalistycznego. Dużo wielkich, widnych, ciepłych, słonecznych, pięknych sal, dostępnych nam przebywanie wśród młodzieży. Da nam możliwość niesienia pomocy i rady we wszystkich trudnościach szkolnych zadań i życiowych sytuacji.

Marian Wróblewski

Józef Kowalczyk

Chcę się uczyć

Poślę do redakcji „Wsi” życzyr, chcę prosić redakcję o pomoc przy wyszukaniu dla mnie odpowiedniej szkoły. A oprócz tego swoim życzyrsem chcę dowiedzieć, że jedynym wyjściem nieraz z beznadziejnej sytuacji na wsi jest tylko spółdzielczość produkcyjna. I u nas, w Wydrzynie, spółdzielnia produkcyjna musi powstać.

Urodziłem się w 1933 r. w Wydrzynie, powiatu wieluńskiego. Dzieciństwo spędziłem w wielkim niedostatku. Mielismy tylko 2 ha ziemi mało urodzajnej. Pole obrabiali nam bogacze wiejscy, każąc sobie siono płacić za dniówkę konną. Byliśmy przez bogaczy wyzyskiwani. Rodzice stale chodzili na drobki, ja również pracowałem zarobkowo, jako pastuch, czy też do innych posług. Do szkoły przed wojną nie chodziłem, wybuch wojny w 1939 r. przeszkodził mi.

Okres okupacji był dla nas bardzo ciężki. W okresie tym nieraz przemieszaliśmy się z głodu. Teskniliśmy także do szkoły, za książką, z zadrżeniem patrzyłem na dzieci niemieckie biegnące do szkoły. Później nadziedziliśmy gorszy okres dla nas, gdy zostaliśmy wysiedleni. Rodzice musieli pracować u Niemców za marne wynagrodzenie. Ja także jako 8-letnie dziecko, musiałem pracować. Nieraz nie mogłem podołać pracy, za co niemiecki kułak bił mnie. Bo nie wystarczył gospodarze niemieccy byli zły, ale byli też bogacze, którzy stali za Hitlerem i gnębili Polaków. Okres pięcioletniej okupacji przeżywałem w bardzo ciężkich warunkach.

Rok 1945 przyniósł nam największe szczęście — wolność. Zaraz też wróciłem do domu. W domu mieliśmy jeszcze większą nędzę, lecz z ogromną radością zapisałem się do szkoły w Wydrzynie. Miałem wtedy 12 lat. Uczyłem się pilnie, aby nadrobić stracony czas. Zaraz też z pierwszej klasy poszedłem do trzeciej.

W domu nie miałem spokojnego życia. Nie mieliśmy co złożyć do garnka. Ziemia stała ugorami, nie było ziarna na zastaw ani na chleb. Mieszkanie i całe gospodarstwo było kompletnie zniszczone. Stopniowo jednak polepszało się. Samopomoc Chłopska organizowała nowe życie.

Po ukończeniu czwartej klasy w Wydrzynie wstąpiłem do piątej klasy szkoły podstawowej w Czarnożyłach, gdzie w bieżącym roku ukończyłem 7 klasę.

Od 1949 r. należę do SP. Na zbiorach SP chodzę chętnie. Nie opuściłem jeszcze ani jednej. Do pracy chodzę i wykonuję ją dobrze. Tylko rodzice nieraz mruczą, że za często mnie nie ma w domu, że chodzę na zbiorach, a za to nic nie otrzymuję. Ale rodzice myślą się! Dużo korzystam z SP. Wiem, że nie mam drogi zamkniętej przed sobą, jak ja miał zamkniętą mój ojciec. Mimo, że dotychczas nie poszedłem jeszcze dalej, ale to i moja wina, gdyż za mało pracowałem organizacyjnie. Trzeba

być się mnie zapytać: CO ROBIEM W ZMP? JAK PRACUJĘ W SP? Czy włączam się w walkę klasową w rodzinnym Wydrzynie i jak rozwijam to zagadnienie. W Wydrzynie przecież nie tylko mój ojciec jest matorolny, matorolnych jest więcej, ale próby wyjścia z tej sytuacji, uwalnienia się od bogaczy są bardzo mizerne. Jest zaledwie kilku chłopów, którzy chcą założyć spółdzielnię produkcyjną, ale bogacze przeszkadzają i nieświadoma ludność wierzy w różne plotki, które rozpuszczają we własnym interesie sami bogacze. Bogacze wiejscy chcą tylko wykorzystywać biedotę wiejską. Bogacze powinni zniknąć ze wsi polskiej. To piszę teraz, ale chociaż jestem młody, muszę zapytać, jak czynnie przeciwstawiałem się bogaczom?

Muszę stwierdzić, że mało i ja sam walczę często z nawykami i sposobem myślenia, które ujojono we mnie w dzieciństwie. Jednak ZMP i SP pomaga mi w rozwiązywaniu trudniejszych zagadnień. To, że jestem obecnie korespondentem kilku czasopism i mogę o pewnych sprawach zabierać głos, zawdzięczać własnie swojemu doświadczeniu nabytemu w SP.

Ala chcę się dalej uczyć. Chcę szerzej oświecać wśród ludności wiejskiej. Chcę walczyć w ten sposób z wrogiem klasowym. Może redakcja pomoże mi i wybierze dla mnie odpowiednią szkołę. Będę zaś pracował z całych sił.

Józef Kowalczyk

W poprzednim numerze

W NUMERZE „Wsi” 36 (267) z dnia 10.IX.1950 r.

Adam Rapacki — Obroncy pokójku czują się silni! Zygfryd Sawko — Do Pablo Nerudy. Jan Nagrabiecki — W Paryżu na portalu. Bronisław Chęciński — Nagrobek Darii. Zofia Rzeplińska — Historyczne doświadczenia. Jan Maria Giges — Atak czy okopy. Wiesław Jazdzynski — Młodzież patrzy na was. Anna Kamińska — Droga Nedzy Kubińca. Leon Pokora — Poemat chłopskiego radykała. A. E. Kirlo-Nowaczyk — Uwagi o „Janosiku”. Ryszard Przybylski — „Burza”. Edward Koziół — W obronie pokójku. Kazimierz Bartel — Czytałem „Ugory” Pogana. Witold Kulik — List zetepowca. Witold Kulik — Brygada szkolna. Jan Lemiesz — Spojrzenie wstecz. Józef Zaremba — Dwie geografie. Tadeusz Szewera — Kułackie dobrodziejstwo. J. Bieniek — Mój wkład w dzieło pokójku. Krzysztof Martyski — Wzmagamy czujność. Ludwik Młot — Problemy na dziś. Marian Piotr Platek — Więcej przodownicy pracy. Jan Marszałek — O wyższą wydajność w nauce. — Wit. — Reformator z „Tygodnika Powszechnego”. Zofia Jarczak — Nie tedy droga. Ilustracji 12 — stron 8.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starokiewicza Nr. 7
Prenumerata i Kolorat: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 72-... Tel. Redakcji 61-80... wewnętrznym 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEŚ” C. Z. Y. T. E. L. N. I. K.
REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW, NIE ZWRACA.
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100 — zł; kwartalnie 300 — zł; półrocznie 600 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII — 1080/110 z zastrzeżeniem „za tvg. „Wies”

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wzd.-Osw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/6
B-116292